

## Treść zeszytu.

	Str.
Kwiaty lotosu — Józef Świątkowski . . . . .	193
Nasza współczesność — M. Wiktor . . . . .	211
Sen a rzeczywistość — K. Chodkiewicz . . . . .	215
O promieniach ziemnych — M. Wiktor . . . . .	218
W łonie Kosmosu — N. Rudnikowa . . . . .	226
Po wielkiej drodze — H. Bronikowska Smolarska . . . . .	229
Ciała zmartwychwstanie (c. d.) — M. H. Szpyrkówna . . . . .	230
Opal (Tajemnice kamieni szlachetnych) — M. Florkowa . . . . .	236
O sugestji myślowej — Dr J. Ochorowicz . . . . .	240
Po tamtej stronie (nowela) — M. Florkowa . . . . .	245
Światła i cienie podróży do Indyj — W. Loga . . . . .	250
Powrót (opera prof. St. Kazury) — H. Witkowska . . . . .	253
Przegląd bibliograficzny . . . . .	255
Kronika: Dietetyczne znaczenie owoców . . . . .	256



### Komunikaty redakcji i administracji

Następny numer Lotosu wyjdzie w pierwszym tygodniu września. — Wszelkie zamówienia książek i odpowiedzi na listy, przesłane po 1 lipca, nie zostaną zaraz załatwione. Wszystkich zatem, którzy wówczas zwracają się do nas, prosimy o cierpliwość, sprawy ich, jakkolwiek nie odwrotnie, będą jednak załatwione w ciągu lipca. — Pozatem przypominamy o terminie wpłacania prenumeraty za 2-gie półrocze, względnie III. kwartał, oraz regulowanie zaległości za I-sze półrocze.

### Pisma nadesłane

„Wolna Myśl Religijna“, kwartalnik, zeszyt 1. Red. i wyd.: Karol Grycz-Smitowski, Kraków, ul. Straszewskiego 2, m. 7.

Pierwsze tego rodzaju pismo w Polsce, które pragnie zgrupować wokół swego sztandaru „bezdomnych“ religijnie, to zn. tych wszystkich, którzy — nie mogąc uzgodnić pewnych zagadnień, czy też swego wyznania — odrzucają wogóle pojęcie Boga i przewodnictwo duchowe, zamknięte w Ewangeli. Redaktor i autor prac drukowanych w „Wolnej Myśli“ uważa ateizm za patologję psychiczną, za chorobliwy stan ducha, powstały na skutek tych czy innych przeżyć, lub przekonań, nie pokrywających się z dogmatyzmem wiary. I do nich to — chorych („bowiem zdrowi nie potrzebują lekarza“, jak mówi pismo św.) przemawia, nawołując do wspólnego przemyślenia idei Boga. Wierzy bowiem mocno, że napewno każdy z nich odszuka w głębi swej duszy to, co tam tli, jako nigdy nie gasnąca iskra: wiarę w Ojca, od którego wszyscy przybyliśmy tu na ziemię!

Sam tytuł: „Wolna myśl religijna“ wskazuje, że pismo nie służy temu, czy innemu kościołowi, pragnie tylko wstrząsnąć podwalinami ateizmu, będącego najgroźniejszym niebezpieczeństwem wieku, w którym żyjemy. W stojącej bowiem wodzie najrychlej następuje proces gnilny, a umysł, który nie usiłuje szukać Boga, musi ulec wcześniej czy później zgubnemu rozkładowi.

### WARUNKI PRENUMERATY:

Bez dodatku: rocznie	10.— zł w Ameryce półn. — 3 dolary
półrocznie	5.50 „
kwartalnie	3.— „
miesięcznie	1.— „

**Konto P. K. O. 409.940.**

**Adres Redakcji: Kraków, ul. Grodzka 58, m. 5.**

Miesięcznik poświęcony rozwojowi i kulturze życia wewnętrznego.

## SYNTEZA WIEDZY EZOTERYCZNEJ

Organ: Tow. Parapsychofizycznego im. Juljana Ochowicza we Lwowie  
Ogniska Badań Ezoterycznych i Metapsychofizycznych w Krakowie  
Stow. Przyjaciół Wiedzy Duchowej w Poznaniu.

Redakcja: J. K. Hadyna, Kraków, ul. Grodzka 58, m. 5.

„Porwać ogień strzeżony,  
zanieść w ojczyście strony  
to cel . . .”

St. Wyspiański

Józef Świtkowski (Lwów).

## Kwiaty lotosu

Studjum krytyczne.

W dawnej literaturze indyjskiej wzmiankowane bywają często „kwiaty lotosu“ w organizmie ludzkim, jako narządy niewidzialne do odbierania wrażeń nadmysłowych, a więc narządy jasnowidzenia, inspiracji i intuicji.

Nazwa „kwiatu lotosu“ pochodzi stąd, że taki narząd przedstawiał się jasnowidzowi podobnie do kwiatu (*padma, kamala*) o ściśle określonej liczbie „płatków“ czy „listków“, albo też podobnie do koła (*czakra*) o pewnej, u każdego innej, liczbie „sprychów“. Słynna „Jasnowidząca z Prevorst“ opisywała — a nawet rysowała — siedem takich „kół“ w swym organizmie, a dawna literatura indyjska wymienia podobnie sześć lub siedm „świętych padm“ w organizmie człowieka.

Zrozumiałe jest, że wiadomość o tych narządach niewidzialnych dostała się do literatury indyjskiej jako wiedza dawnych „*rishi*“ (mędrców), obdarzonych niewątpliwie jasnowidzeniem. Jeżeli zatem widziała je również „Jasnowidząca z Prevorst“, która napewno nie znała żadnych źródeł indyjskich, i jeżeli widzieli je także inni jasnowidze współcześni, jak Bławatska, Leadbeater, Steiner, to te narządy nadmysłowe muszą być — jakkolwiek niewidzialne — przecież czemś rzeczywistym, istniejącym realnie.

Źródła, skąd można czerpać wiadomości o „kwiatkach lotosu“, są zatem dwójakiego rodzaju: *t r a d y c j a p i s e m n a* indyjska i *o b s e r w a c j e j a s n o w i d z ó w* współczesnych. Jest ponadto pokaźna liczba prac róż-

nych autorów nowoczesnych, zawierająca mniej lub więcej szczegółowe wzmianki o kwiatach lotosu; prace te jednak grzeszą tem samym, co i inne mniej poważne prace z dziedzin okultyzmu, a to tem, że albo nie podają wcale źródeł, skąd wzmianki pochodzą, albo podają je tak ogólnikowo\*), że sprawdzenie staje się niemożliwym.

Przy uwzględnieniu wartości szczegółów krytycyzm wydaje mi się tem bardziej koniecznym, że autorowie prac współczesnych, podając nawet nieraz szczegóły zgodne ze źródłami dawnymi, kompilują je z wymyślonymi przez siebie lub zaczerpniętymi od innych kompilatorów. Nim zatem przejdę do dalszych rozważań, wymienię źródła, które mi były dostępne, i poddam je ocenie krytycznej.

Z tradycji indyjskiej istnieją przekłady, dokonane przez różnych sanskrytologów europejskich, a szczegóły, odnoszące się do „kwiatów lotosu“, zawarte są m. i. w następujących dziełach: P. Deussen: „Sechzig Upanischad“, R. Schmidt: „Fakire und Fakirtum“, P. J. Abs: „Indiens Religion, Sanatana-Dharma“. Autorowie ci mieszczą w swych pracach cytaty ze zabytków tradycji indyjskiej, które dla uproszczenia będą oznaczał literami w nawiasie, a to:

(U) *Upaniszady*, (J) *Jogasutra* Patańdzalegc\*\*), (H) *Hathajoga-pradipika*, (G) *Gheranda-samhita*, (W) *Waczaspati-miśra*, (B) *Bhodża-Radża*, (Ś) *Śiwa-samhita*.

Z pism jasnowidzów europejskich uważam za zasługujące na przytoczenie: *The secret Doctrine* Bławatskiej, *Das innere Leben* Leadbeatera, *Wie erlangt man Erkenntnisse höherer Welten* Steinera, i wspomnianą już *Jasnowidzącą z Prevost* Kenera. Natomiast bezwartościowemi wydają mi się książki kompilatorów takich, jak Rama-Czaraka (recte Atkinson), lub Lichanow („Skrizali maga“), a to dlatego właśnie, że mieszają źródła obce — z zasady nie wymieniane — z fantazjami własnymi.

Gdzież leżą te różne kwiaty lotosu w organizmie ludzkim i jakie są ich funkcje poszczególne? — Na te pytania, a nawet już na pierwsze z nich, nie ma zgodnej odpowiedzi w różnych źródłach. W cytowanym wyżej dziele pisze Bławatska: „Do dziś nie zgadzają się ze sobą powagi co do faktycznego położenia czakr...“, a w innym miejscu mówi: „Siedm naszych czakr mistrzowskich leżą wszystkie w głowie i są kierowniczkami siedmiu pleksów w ciele, pominąwszy 24 mniejszych.“

Pleksami (*plexus*) nazywa anatomja splety nerwów, należących do

---

\*) Tak np. pisze autor: „stare księgi indyjskie mówią, że...“, lub znowu: „pewien jasnowidz podaje, że...“.

\*\*) *Jogasutę* przełożył m. in. M. Oppermann, *Hathajogę* prof. Walter, a *Gherandasamhitę* prof. Garbe.

układu współczulnego (sympatycznego) i błędnego (*vagus*); otóż charakterystyczne jest, że już najdawniejsze źródła umiejscawiają kwiaty lotosu tam, gdzie anatomja nowoczesna mieści ważniejsze sploty nerwu sympatycznego i parasympatycznego. Źródła te nie wymieniają oczywiście splotów, gdyż te były wówczas niezbrane; mówią tylko o „miejscu obok serca, przy pępku, między brwiami“ i t. p. Miejsca te, oraz odpowiadające im lotosy, są następujące:

U dołu kręgosłupa mieści się lotos czterolistny (*muladhara* lub *adhara-czakra*); miejsce to odpowiada dość dokładnie splotowi krzyżowemu (*plexus sacralis vel lunaris*). Godne uwagi jest to, że cztery płatki tego lotosu tworzą formę krzyża, a miejsce kręgosłupa, gdzie ten lotos się mieści, nazywa się w bardzo wielu językach również „krzyżem“. Świadczyłoby to, że niegdyś ludy miały świadomość tego lotosu\*).

Lotos sześciolistny (*swadhiszthana-czakra*) leży według jednych źródeł (H, G) w podbrzuszu (przy *plexus prostaticus*), według innych (Leadbeater) w okolicy śledziony. Bławatska umieszcza go w *prostacie*.

Lotos dziesięciolistny (*manipuraka-czakra*, a według Patańdzalego: *nabhiczakra*) leży nad czterolistnym, na wysokości pępka, w pobliżu splotu słonecznego (*plexus solaris vel coeliacus*).

Godne zaznaczenia jest, że według jednego ze źródeł (B) ten lotos (*nabhi-czakra*) ma liczyć nie dziesięć, lecz szesnaście listków.

Lotos dwunastolistny (*anahata-czakra*, a według Patańdzalego: *hrdaja-czakra*) leży według jednych źródeł w komorach serca, według innych zaś obok serca lub nad sercem, a więc około splotu sercowego (*plexus cardiacus*). Jedno źródło (W) mówi o lotosie sercowym (*hrdajapandarika*), że „między piersią a brzuchem jest wywrócony lotos ośmiolistny“.

Lotos szesnastolistny (*wisuddhi-czakra* lub *wjandha-czakra*) ma miejsce na wysokości krtani, względnie w głębi jamy gardzielowej, około splotu gardlanego (*plexus laryngeus*).

Lotos dwulistny (*adźña-czakra*) mieści się w głębi czaszki, między brwiami, jużto nad nasadą nosa, w zatoce jamistej (*sinus cavernosus*). Według niektórych lotos ten ma nie dwa, lecz sto listków, a wedle Leadbeatera ma ich 2 razy po 48, czyli dziewięćdziesiąt sześć.

Lotos tysiąclistny (*sahasradala*, lub *sahasrara-czakra*) mieści się w tyle od poprzedniego, w okolicy szyszynki (*glandula pinealis, vel penis*

---

\*) Swami Wiwekananda w rozprawie swej o „Radżajodze“ (tłómaczonej w wyjątkach przez W. Lutosławskiego) umieszcza lotos czterolistny w gruczole ogonowym (*glandula coccygaea*), jest jednak ze swem zdaniem całkiem odosobniony.

cerebri), a według Steinera mieści się poniżej dwulistnego. Leadbeater twierdzi, że lotos ten ma, dokładnie licząc, 960 listków, a oprócz tego w środku jego mieści się drugi, mniejszy, o dwunastu listkach; inne źródło natomiast (H) powiada, że ten lotos ma „tysiąc listków lub osm“, a Steiner także wspomina o ośmiu. Źródła najstarsze mieszczą ten lotos „nad otworem Brahmy“ (*brahmarandra*), który według nich jest „górnym końcem pustego kanału *suszumna*“, biegnącego przez całą długość kręgosłupa; tak np. *Śiwa-samhita* mówi: „Od adźńa-czakry w górę znajduje się nad podstawą *pharynx* lotos tysiäclistny, leżący już poza ciałem“.

Liczba ogólna lotosów w organizmie ludzkim, według różnych źródeł, wynosi, jak wyżej zaznaczyłem, sześć lub siedm. Bławska mówi o siedmiu, Leadbeater podobnie; Steiner natomiast wymienia sześć, a *jogaśastra* mówi również o „szat-czakra“ (sześć kół), których wrota jogin ma otworzyć. Jasnowiedząca z Prevorst opisuje swych siedm kół w tych słowach: „Czuję jakby pierścień, wychodzący z dołka sercowego, rozpostarty nad piersią i jakby przytwierdzony do lewego boku. Krąg ten leży na mnie ciężko i zawadza mi nerwami. Ma dwanaście części i w nich widzę wrażenia wszystkich moich zdarzeń. Pod nim jest pięć innych pierścieni, a nad nim jeszcze jeden pusty“.\*)

Sprzeczności tedy między poszczególnymi źródłami są trojakiego rodzaju: co do liczby łącznej lotosów w organizmie, co do liczby płatków lub listków w poszczególnych lotosach i co do położenia lotosów w organizmie. To, co Jasnowiedząca z Prevorst mówi o siódmym, „pustym“ pierścieniu, nasuwałoby myśl, że siódmy lotos nie wszyscy jasnowiedze spostrzegali, skoro ona uważała go za „pusty“, że zatem jest ich przecież siedm, a jeden z nich nie wszystkim bywa widzialny. W dalszej części przytoczę wzmianki, wskazujące, że siódmy lotos (tysiäclistny), nie jest szczególnym narządem do odbierania wrażeń, lecz miejscem, przez które ciało astralne jogina wysuwa się z fizycznego, że zatem właściwych narządów nadzmysłowych jest sześć tylko (a raczej pięć nawet, jak to poniżej zobaczymy).

Sprzeczności między poszczególnymi źródłami co do liczby płatków w różnych lotosach możnaby kłaść na karb niedokładności spostrzegania przez różnych jasnowiedzów. Steiner wiąże wprawdzie liczby płatków w lotosach z liczbami „warunków“, jakich wymaga ich rozwijanie (kształcenie); ponieważ jednak inni jasnowiedze nie potwierdzają tej łączności, można uważać ją za pewnego rodzaju „metodę pedagogiczną“, ułatwiającą

---

\*) Jasnowiedząca ta odnosiła siedm pierścieni do siedmiu lat życia, twierdząc, że te pierścienie „odpadają“ (zmieniają się) co siedm lat; to jednak nie należy już do naszego tematu.

uczniom pracę nad wnętrzem własnym. Sprzeczności co do liczby płatków występują zresztą nie u wszystkich lotosów; a to u lotosu sercowego (8, 12 i 16 listków), ocznego (2, 96 i 100 płatków) i szyszynkowego (1000, 8 i 12 płatków).

Sprzeczności co do p o ł o ż e n i a są większe tylko w dwóch wypadkach: lotos sześciolistny ma leżeć juźto w okolicy gruczołu sterczowego, juźto przy śledzionie, a ośmiolistny znajduje się (W) juźto „między piersią a brzuchem“, juźto (H) u szczytu czaszki, jeżeli przyjmujemy, że jest to lotos identyczny z tysiściolistnym. Leadbeater, opisując działalność czakr (kwiatów lotosu), wspomina, że „istnieją jeszcze trzy czakry niższe, używane w czarnej magji (*dugpa*)“; możliwe jest zatem, że źródła późniejsze (np. *hathajoga*) wstawiały którąś z tych czakr na miejsce jednej z wyższych i w ten sposób powstała sprzeczność w lokalizacjach lotosów.

Jak przedstawiają się w z r o k o w i jasnowidza różne kwiaty lotosu, o tem źródła tradycji nie podają nic szczegółowego. Ze samej nazwy „lotosu“ lub „koła“ wnosić można, że mają formę okrągłą, a różne liczby płatków lub sprychów świadczą, że te tarcze okrągłe podzielone są na pewną liczbę wycinków czy też promieni, idących od wspólnego środka ku brzegom. Jedno z dawnych źródeł (G) podaje b a r w y różnych lotosów i przynależności ich do różnych „bóstw“ (władz), a podobne barwy przytacza także Leadbeater. Schmidt podaje, że wspomniane w *praśnopanisadzie* „nadis“ (kanały) w liczbie 72.000 „przecinają się w różnych punktach organizmu ludzkiego, tworząc t k a n i n ę, zwaną *lotos* lub *kamala*, i służą jako centra sił do uruchomienia funkcji fizjologicznych“.

Swoiście i n d y j s k i e pojęcie „nadis“ sięga do najdalszej starożytności. Mówią o nich juź różne strofy *upaniszadów*, określając serce jako miejsce, skąd biorą początek 72.000 nadis, a wedle *tantry* (późniejszej pisanej „wiedzy tajemnej“) nadis biorą początek w miejscu, zwanem „*kandajoni*“ (między pępkiem a narządami płciowymi). *Siwagama*, jedna z powag wiedzy tantrycznej, objaśnia, że „obok kanałów dla powietrza są w organizmie liczne *nadis*, przewody dla przepływu *prany*, istotnej siły nerwowej w przyrodzie“. Prana zaś jest pierwiastkiem niewidzialnym, wypełniającym wszechświat i wszystkie zawarte w nim rzeczy. Organizmy żywe przetwarzają pranę na siłę żywotną, a *nadis* roznoszą tę siłę po wszystkich komórkach organizmów.

Nadis zatem nie są n e r w a m i w znaczeniu anatomicznem (podobnie jak „*ida*“ i „*pingala*“, dwie główne nadis, biegnące po lewej i prawej stronie kręgosłupa, nie są częściami nerwu współczulnego); są to tylko półmaterjalne (eteryczne) przewody dla przepływu *prany* (siły żywotnej). Podobnież kwiaty lotosu nie są gruczołami, ani splotami nerwów fizjologicznych, lecz narządami n i e f i z y c z n y m i, a zatem niewidzialnymi



i niedostępnymi stwierdzeniom anatomicznym. Według Leadbeatera „czakry są w każdym z naszych ciał punktami stycznymi dla prądów sił, przepływających z jednego ciała w drugie“, a więc np. płynących z ciała astralnego w eteryczne.

Wedle tegoż autora „w ciele eterycznym kwiaty lotosu tworzą lejkwate wgłębienia powierzchni, leżące o 1 centymetr w powietrzu ponad obrębem ciała fizycznego. Lejki te tworzą się z wirów materji eterycznej i są w ruchu bardzo szybkim. W każde z ich wgłębień nazewnątrz zwróconych\*), a więc w otwory, prostopadłe do płaszczyzny krążka wirującego, wlewa się nurt siły ze świata astralnego, jeden z prądów sił, które Logos wysyła. Każdy z tych nurtów siły jest co do swej istoty siedmioraki i wszystkie jego formy działają w każdym lotosie, chociaż w każdym przeważa jedna jego forma szczególna.

„Owe siły, wpływając z zewnątrz prostopadłe do powierzchni ciała eterycznego, wytwarzają prądy wtórne w ruchu wirowym w taki sam sposób, jak sztabka magnesu, wsunięta w cewkę indukcyjną, wywołuje w niej prąd elektryczny, płynący prostopadłe do linii sił magnesu. Wpadłszy we wir lejka, siła pierwotna promieniuje z niego prostopadłe do swego kierunku pierwotnego, a więc naokoło po liniach prostych, jakgdyby punkt środkowy był osią koła, a promieniowania tej siły jego sprychami. Ilość tych sprychów jest różna w różnych czakrach i oznacza liczbę „płatków lotosu“, jaką każdy z tych centrów posiada.

„Prądy wtórne przewijają się pod i nad promieniowaniami odśrodkowymi nurtu głównego, jakgdyby sprychy koła owinięte były plecionką. Te linje splecione i pokrzyżowane wywierają wrażenie podobne, jak płatki kwiatu, a jeszcze większe jest podobieństwo do płaskich czarek weneckich ze szkła opalizującego. Wszystkie te formy fal, czy też płatki kwiatów, mienia się barwami tęczowemi; jednak zwykle jeden odcień barwny przeważa w danym lotosie, odpowiednio do barwy, którą ma zasilająca go siła życiowa.

„U człowieka zwykłego centra te są czynne tylko o tyle, aby tworzyć przewody dla siły *prany* w ilości niezbędnej do utrzymania życia. U ludzi jednak, u których lotosy te są rozbudzone z uśpiania i wprawione w ruch pełny, barwy promienieją świetnym blaskiem, a lotosy świecą jak małe słońca, wzrastając stopniowo z rozmiarów pięciocentymetrowych do średnicy talerzyków pod szklanki.

„Pierwsze centrum podzielone jest na ćwiartki, między którymi są puste przestrzenie, ma więc wygląd krzyża i stąd nieraz oznaczano krzyżem

---

\*) Jest to zgodne z określeniem w dawnych źródłach (W, G), że czakry są podobne do „lotosu wywróconego“ (a więc z wklęsłością na zewnątrz).



płomiennym „ogień wężowy“, który żyje wewnątrz tego lotosu. Po rozbudzeniu do pełnej czynności ma to centrum barwę ognisto pomarańczową, dokładnie zgodną z barwą tego nurtu siły żywotnej, który przyływa doń z centrum położonego przy śledzionie.

„Drugie centrum o dziesięciu płatkach, mające siedzibę w pępku lub w splocie słonecznym, ma bardzo ścisły związek z odczuciami i wrażeniami wszelkiego rodzaju. Barwa jego jest mieszaniną różnych odcieni, w której zieleń znacznie przeważa.

„Czakra przy śledzionie ma za zadanie odbierać przyływającą ze słońca siłę żywotną, rozkładać ją wedle cech i rozdzielać po innych czakrach. Siłę tę wysyła w sześciu poziomych promieniach, a siódmy wnika w oś koła. Centrum to zatem ma sześć płatków lotosu i odznacza się blaskiem promiennym, barwą do słońca podobnym.

„Lotos w okolicy serca ma barwę złota błyszczącego, a każda z jego ćwiartek rozpada się na trzy części, przez co powstaje dwanaście sprychów koła.

„Piąty lotos, w krtani, ma szesnaście części widomych. Błękit występuje w nich przeważnie, ale z połyskiem srebra i przypomina migotanie światła księżycowego na wodzie.

„Lotos między brwiami wygląda tak, jakby się dzielił na dwie połowy: jedna przeważnie różowa żółcią obrzeżona, a u drugiej wybija się odcień ciemnego szafiru. Stąd zapewne tradycje indyjskie nazywają ten lotos dwulistnym, chociaż dokładne zliczenie daje ich po 48 w każdej połowce.

„Siódme centrum, u szczytu głowy, ma po obudzeniu świetność największą ze wszystkich, gdyż jego efekt barwny składa się z nieopisanie pięknych odcieni chromatycznych. Liczba promieniowań w nim wynosi 960. Nadto ma w sobie rodzaj wiru pomocniczego, siedzącego w najgłębszym miejscu tego lotosu, o barwie bieli migocącej, złotem przetykanej, wiru, który w swej działalności wytwarza dwanaście własnych łuków falistych.

„Prócz podtrzymywania życia w ciele fizycznym mają te centra i inną funkcję, występującą jednak dopiero po obudzeniu ich do pełnego działania. Każde centrum eteryczne ma odpowiednie centrum astralne, chociaż astralne, jako czterowymiarowe, sięga w kierunku całkiem innym, niż eteryczne, niezawsze zatem ma te same granice, mimo że części obu centr padają na siebie. Wir eteryczny znajduje się zawsze na powierzchni ciała eterycznego, natomiast astralny tkwi często wewnątrz tego ciała.“

Przytoczyłem ten opis wyglądu lotosów według Leadbeatera; nim przejdę do zagadnienia ich funkcji, podam dla porównania twierdzenia Bławatskiej o barwach tych lotosów: Czakra między brwiami ma barwę błękitną, u śledziony fioletową, pępkowa zieloną, krzyżowa czerwoną, krtaniowa indygo, szyszynkowa żółtą. Późniejsza tradycja pisana, zwłaszcza

kierunku materjalistycznego (H), podaje znów inne barwy: Lotos krzyżowy ma złotą, sterczowy czerwoną, pępkowy żółtą, sercowy białą, krtańowy czarną, oczny rubinową, a szyszynkowy ma barwę promieni słonecznych. Jak z tego widać, rozbieżności co do określania barw przez różnych autorów są już pokaźne; pewnem ich wytłumaczeniem może być tylko przyjęcie, że jedni autorowie opisują centra astralne, a drudzy leżące w tych samych miejscach centra eteryczne.

Jakoż Steiner wymienia wyraźnie centra e t e r y c z n e oddzielnie od astralnych; a odnośnie do pierwszych mówi: „W ciele eterycznym jest obok serca narząd jaśniejący barwami, z którego płyną prądy poza obręb ciała fizycznego aż do granic ciała astralnego, a najważniejsze płyną do kwiatów lotosu. Z tego narządu eterycznego płyną prądy do lotosu dwunastolistnego\*) i szesnastolistnego, a wdół do ośmio\*\*), sześć i czterolistnego... Pojawiają się w tych lotosach pewne odcienia fioletowe i różowe, jeżeli uczeń wykształci w sobie przezorność w urabianiu sądów i wypowiedaniu ich; bez tego zaś powstawałyby w nich odcienie ciemnoczerwone i pomarańczowe.“

O narządach a s t r a l n y c h zaś mówi Steiner w ten sposób: „W nieuczłonkowanym jeszcze ciele astralnym<sup>1)</sup> rozciąga się od głowy do środka ciała twór odrębny od otoczenia, który wygląda jak rodzaj organizmu samoistnego, mającego własne narządy. Narządy te leżą w pobliżu następujących części fizycznych: w głowie, gardle, sercu, jamie żołądkowej i dwa w brzuchu. U człowieka nierozwiniętego te kwiaty lotosu są ciemno zabarwione i nieruchome. U jasnowidza są w ruchu i świecą różnymi barwami, a podobnież u medjum, ale w innym rodzaju. W miarę ćwiczeń pierwszym zjawiskiem jest, że zaczynają się rozjaśniać, a później wirowo się obracać. Gdy to nastąpi, otwiera się zdolność jasnowidzenia, są to bowiem narządy zmysłowe duszy.“

O f u n k c j a c h kwiatów lotosu wyraża się Leadbeater dość ogólnikowo, a mianowicie: „Lotos czterolistny jest siedzibą „siły węzowej“; dziesięciolistny przy pępku, względnie przy splocie trzewnym wielkim, po obudzeniu do czynności daje człowiekowi świadomość różnych wpływów, wyczuwalnych bądźto jako mile, bądź jako wrogie, ale bez zdawania sobie sprawy z przyczyn tych wpływów. Z ocknieniem się lotosu u śledziony uzyskuje człowiek możność przypominania sobie mglisto, i nieraz uryw-

---

\*) A zatem obok serca mieszczą się dwa narządy: jeden eteryczny, drugi astralny.

\*\*) Jeżeli to nie jest prosta pomyłka autora: zamiast „dziesięć“.

<sup>1)</sup> Ciało astralne jest według niego w tym stadium tylko chmurą bez określonej formy, w której kłębią się i wirują mgły różnobarwne, przeważnie mętne i nieprzejrzyste.

kowo, swych wędrówek we śnie. Działalność lotosu dwunastolistnego uświadamia człowiekowi niejasno radości i cierpienia drugich, a gdy się dołączy współczucie, może człowiek przez to doznawać sam cierpienia, nawet wobec czyichś bólów fizycznych.

„Obudzenie centrum w krtani pozwala słyszeć głosy, poddające nieraz różne myśli; słyszy się również czasem muzykę, lub dźwięki niemiłe. Lotosem między brwiami zaczyna człowiek widywać różne rzeczy i miewać na jawie wizje miejscowości lub osób. Gdy budzenie zaczyna się dopiero, widać mglisto krajobrazy lub chmury barwne; zupełne rozbudzenie prowadzi do jasnowidzenia. Pełna działalność siódmego centrum pozwala człowiekowi przy zachowaniu całkowitej świadomości opuszczać ciało fizyczne przechodzeniem przez owo centrum i powrót tą samą drogą bez uwzględniania zwykłej przerwy; świadomość zatem czynna jest stale w dzień i w nocy.“

Dość zgodnie z Leadbeaterem przedstawia funkcje kwiatów lotosu Steiner: „Lotosem dziesięciolistnym spostrzega się światło i barwy, aureę ludzi, ich uzdolnienia i talenty, rolę w przyrodzie zwierząt, roślin, minerałów i atmosfery. Zapomocą sześciolistnego dochodzi się do obcowania z istotami wyższymi świata astralnego. Dwunastolistny daje wrażenia podobne do uczucia ciepła i chłodu psychicznego; postacie, widziane szesnastolistnym, wydzielają także ciepło lub zimno. Lotos szesnastolistny spostrzega formy, w których objawiają się myśli dusz, prawa zjawisk natury; są to wszystko formy ruchliwe, pełne życia.“

O innych lotosach mówi Steiner bardzo mało; dwulistnym „uzyskuje się zapomocą prądów eterycznych łączność z wyższymi nad człowieka istotami duchowymi (władcami karmy)“; o tysiąclistnym nie wspomina (według niego jest wogóle sześć lotosów), a podobnie pomija czterolistny. Twierdzi natomiast, że budzenie „ognia węzowego“ powinno się odbywać w narządzie eterycznym obok *serca*, a więc w sąsiedztwie lotosu dwunastolistnego, nie czterolistnego, jak u wszystkich innych autorów.

Kształtowanie ciała *eterycznego*, tej niewidzialnej narazie części organizmu fizycznego, odbywa się według Steinera w sposób następujący: „Ćwiczeniami rozwija się zrazu organ eteryczny nie w sercu, lecz w głowie, aby stąd wychodziły prądy eteryczne. Po rozwinięciu tego ogniska przesuwa się je w dół, do gardła, skąd następnie prądy wychodzą. Gdy się już umie obracać ciało eteryczne zapomocą prądów, idących mniej więcej wzdłuż rąk, przesuwa się dopiero jego punkt środkowy w okolicę serca\*), a całe

---

\*) O podobnym ośrodku obok serca mówi „Głos ciszy“ (przełożony przez Bławatską): „Niech siła ognista wycofa się w najgłębszą komórkę serca, gdzie mieszka Macierz Świata. Wówczas siła ta wzniesie się w dziedzinę szóstą, środkową,

ciało eteryczne uzyskuje uczłonkowanie. Wtedy przychodzi kolej na kształcenie lotosu dwulistnego (wyżej wspomnianego), który zapomocą prądów eterycznych nawiązuje łączność z istotami wyższymi.“

Prądy eteryczne (prądy prany) przepływają według Leadbeatera przez wszystkie kwiaty lotosu: „Wyszedszy z lotosu sześciolistnego, płynie prąd siły żywotnej w pięciu strugach różnobarwnych. Fiołkowo niebieski zdaje się rozdzielać: jasny błękit zostaje w lotosie szyi i ożywia go, a ciemny fiolet dąży dalej aż do eterycznego centrum głowy. Struga żółta idzie ku sercu, a opłynawszy je, dąży do mózgu. Zielona płynie w jamę brzuszną, opanowując zwłaszcza splot słoneczny, a nadto ożywia wątrobę, nerki i narządy trawienia. Struga różowa przebiega z nerwami przez całe ciało, a pomarańczowa dąży do nasady kręgosłupa, stąd zaś do narządów płciowych, z którymi część jej jest związana, i tu nabiera czerwieni purpurowej. Struga ta u ludzi moralnie czystych płynie wprost z podstawy kręgosłupa wzdłuż niego w górę aż do mózgu.“

Według Leadbeatera zatem narząd eteryczny przy śledzienie, a względnie lotos sześciolistny, byłby tylko narządem, podobnym do „ust eterycznych“, gdyż jedyną jego funkcją jest wchłanianie *prany*, którą rozdziela na pięć „strug“ i rozsyła je po innych lotosach. Byłoby więc pięć takich narządów, które, jak mówi Leadbeater, „pośredniczą w niezalamanej przenoszeniu wrażeń z jednej równi na drugą“, gdyż lotos tysiąclistny nie pośredniczy w niczem, będąc tylko „otworem“, przez który ciało astralne wydostaje się z fizycznego nazewnątrz. Wrażenia z równi astralnej dadzą się oczywiście „przenieść“ na równię fizyczną tylko o tyle, o ile istnieją jakieś zmysły, któreby te wrażenia mogły odebrać, czyli „przetłumaczyć“ na fizyczne.

Otóż pięć lotosów pośredniczy w przenoszeniu do świadomości na jawie dziennej takich wrażeń *a s t r a l n y c h*, jakie odpowiadają — przynajmniej w przybliżeniu — wrażeniom: dotykowym (ciepła, zimna, twardości), węchowym, smakowym, słuchowym i wzrokowym. Ten wniosek potwierdzają zarówno opisy Leadbeatera, jak innych autorów, jest tam bowiem mowa o „cieple i chłodzie psychicznym“ (dotyk), o „sympatjach i antypatjach“ (węch), o „słowie wewnętrznym i poddawaniu myśli“ (słuch), o „widzeniu barw i kształtów“ (wzrok). Brak tylko wrażeń, odpowiadających zmysłowi smaku; może jednak dostarczyłyby tu pewnej analogii uzdolnienia psychometryczne.\*)

---

w miejsce między oczyma.“ (Nawiązanie do lotosu dwulistnego.) Praśnopanisad zaś mówi: „W sercu mieszka *a t m a n*; tam jest sto i jedna *n a d i*.“

\*) Rozwijanie systematyczne takich uzdolnień zaczyna się zwykle od ćwiczeń, w których drobne ilości cukru, soli, pieprzu, piołunu i t. p., starannie opakowane

Oczywiście możnaby — zgodnie z niektórymi autorami — przyjąć, że oprócz wrażeń, podobnych do otrzymywanych zmysłami fizycznymi, odbierają kwiaty lotosu jeszcze inne wrażenia, całkiem niepodobne do fizycznych; takie jednak nie dałyby się z niczem znanym porównać, ani znanymi pojęciami wyrazić, opis ich zatem byłby niemożliwy. Łatwiej natomiast można wyobrazić sobie, że kwiaty lotosu odbierają np. wrażenia wzrokowe o wiele rozleglejsze, niż oko fizyczne, że np. poza siedmiu barwami tęczy „widzą“ jeszcze barwy podczerwone i pozafioletkowe, lub może widzą barwy w kilku „oktawach“. Podobnie inny lotos „słyszy“ może dźwięki w skali rozleglejszej, niż ucho fizyczne, a jeszcze inny czuje „woń“ sympatji i antypatji (znane są osoby, odczuwające np. kilka tygodni naprzód „woń śmierci“ u człowieka, który ma umrzeć, chociaż w danej chwili jest zdrowy zupełnie).

Sprawa, który z lotosów jakie odbiera wrażenia, wydaje mi się rzeczą wagi podrzędnej, podobnie jak sprawa, ile który z nich ma listków i jak one są zabarwione; sprzeczności bowiem pod tym względem mogą pochodzić poprostu z niejednakowej bystrości jasnowidzenia. Pytanie główne, czy te lotosy istnieją i jakie są ich funkcje, można natomiast uznać za rozstrzygnięte, ponieważ:

1. Istnienie „lotosów“ czy „kół“ w organizmie niewidzialnym człowieka stwierdzają zgodnie zarówno tradycje pisemne indyjskie z różnych czasów, jak i obserwacje jasnowidzów nowoczesnych, nie wiedzących nawzajem nic o swych obserwacjach, a przeważnie także nie znających treści tradycji pisemnej.

2. Odbieranie wrażeń pozazmysłowych, lub też wrażeń zmysłowych wprawdzie, ale bez pośrednictwa zmysłów fizycznych, jest faktem, mnóstwo razy stwierdzonym doświadczalnie; muszą zatem istnieć jakies narządy нефизyczne, któreby takie wrażenia odbierały.\*)

Już późniejsza tradycja pisemna indyjska lokalizuje położenie kwiatów lotosu obok pewnych splotów nerwowych (dawniejsza tradycja nie wie nic o istnieniu splotów); są to, jak wyżej wspomniałem, sploty układu sympatycznego i parasympatycznego. Splotów takich jest w organizmie ludzkim o wiele więcej, niż „siedm kwiatów lotosu“ i dlatego może

---

w papierki jednakowego wyglądu, bierze się w rękę lub przykładą do czoła, aby skupieniem się rozpoznać, co zawierają. W dalszych ćwiczeniach rozpoznaje się „smak“ żelaza, kamienia, drzewa, wody. Tu może także należeć zdolność odróżniania wody zwykłej od magnetyzowanej.

\*) Jasnowidze najczęściej „widzą“ z oczyma zamkniętymi, nawet zawiązanymi grubą opaską; niektórzy „widzą“ czołem, sercem, żołądkiem, lub końcami palców, a wszyscy widzą doskonale w zupełnej ciemności.

mówi Blawatska o „czterdziestu dwóch splotach mniejszych“, których „kierownictwo znajduje się w głowie“.

Ze względu na to, że może nie wszyscy czytelnicy orjentują się dobrze w takich nazwach anatomicznych, jak „sploty“ i „gruczoły“, podam tu w krótkości najważniejsze szczegóły z anatomji i endokrynologii.

System nerwowy w organizmie ludzkim składa się z trzech części, działających niezależnie od siebie, ale ściśle ze sobą złączonych włóknami nerwowymi; a to: układ mózgowo-rdzeniowy, układ sympatyczny i układ parasympatyczny (błędny). Pierwszy odpowiadałby świadomości (duchowi, jaźni), drugi duszy emocjonalnej (zwierzęcej, psyche), trzeci zaś funkcjom życiowym (roślinnym). (Prof. Pieńkowski nazywa pierwszy układ animalnym, a oba pozostałe wegetatywnymi.)

Zespół komórek nerwowych nazywa się w anatomji „zwojem“ (*ganglion*), a rozchodzące się zeń ku obwodowi gałązki nerwowe tworzą „sploty“ (*plexus*). W głowie mamy zwoje mózgowe, należące do układu mózgowo-rdzeniowego, oraz sploty nerwów obu innych układów; w klatce piersiowej zaś i w jamie brzusznej mamy sploty nerwów układu współczulnego i przywspółczulnego (sympatycznego i parasympatycznego). Wzdłuż kręgosłupa mieszczą się zwoje kręgowo (*ganglia vertebralia*), tworzące razem pień, jako ośrodek układu nerwowego współczulnego (*truncus sympaticus*), a z tego pnia rozchodzą się do wszystkich narządów gałązki nerwowe, tworzące sploty.

Trzeci układ, zwany przywspółczulnym (parasympatycznym) lub nerwem błędnym (*nervus vagus*), wychodzi z rdzenia przedłużonego (*medulla oblongata*) licznymi korzeniami; po opuszczeniu czaszki przebiega przez szyję i klatkę piersiową, a kończy się w brzuchu splotem żołądkowym (*plexus epigastricus*). Z tego pnia głównego rozchodzą się do wszystkich prawie trzew liczne odgałęzienia, a część ich wchodzi w skład splotów współczulnych jamy brzusznej.

Otóż w obrębie tych układów nerwowych leżą, prócz innych narządów, także gruczoły o tyle osobliwe, że wytwarzana przez nie wydzielina nie wystaje się żadnymi kanalikami, lecz wchodzi wprost do krwi; są to t. zw. „gruczoły o wydzielaniu wewnętrznym“ (*endokryniczne*), a wydzieliny ich nazwano „*hormonami*“. Badania tych gruczołów i odkrycia wydzielanych przez nie hormonów należą do niedawnych stosunkowo zdobyczy naukowych.\*)

---

\*) Większość danych, dotyczących się najnowszych zdobyczy endokrynologii i fizjologii systemu nerwowego, zawdzięczam ofiarnej uprzejmości W. Pana Pułkownika-lekarza Dra Stanisława Brończyka w Przemyślu, któremu na tem miejscu czuję się w miłym obowiązku złożyć serdeczne podziękowanie.

Zastanawiające jest, że te gruczoły leżą właśnie w miejscach, w których tradycja pisemna i zeznania jasnowidzów lokalizują kwiaty lotosu; a jeszcze bardziej zastanawia fakt, że gruczoły endokryniczne wykazują ścisłą łączność z objawami psychicznymi. Dwa takie gruczoły, leżące w głowie, wymieniała już przed pół wiekiem Bławatska i podawała o nich szczegóły anatomiczne, naówczas zadziwiająco dokładne; ona też wskazała — jako bezsprzecznie pierwsza — na związek tych gruczołów z uzdolnieniami parapsychoicznymi człowieka. Oto próbka dokładności anatomicznej u Bławatskiej („The secret doctrine“), odnosząca się do szyszynki, którą autorka zowie „gruczołem szczytowym“ (*conarium*):

„Gruczoł szczytowy jest to ciało okrągławo-podłużne, 8—10 mm średnicy, o ciemnej barwie czerwono-szarej, w styczności z tylną częścią trzeciej komory mózgu. Umocowane jest do swej podstawy dwoma cienkimi sznurami mleczu, rozwidlającymi się ku przodowi w kierunku wzgóreków wzrokowych, będących narządami do odbierania najsilniejszych wrażeń z obwodu ciała — a według okultyzmu z obwodu „jaja aurycznego“, obwód ten bowiem jest naszym punktem łączności z wyższymi światami. Dwa te wiązadła wzgóreków wzrokowych są wygięte, aby mogły zetknąć się ze sobą, i łączą się w linii środkowej, stając się tam dwiema łodygami gruczołu szczytowego.“

Nauka zaś współczesna (dr Bertlinger: „Physiologie und Pathologie der Zirbel“, 1930) mówi, co następuje: „Szyszynka jest gruczołem szaro-czerwonym, wielkości czereśni; mieści się nieco powyżej między przednimi wzgórkami czworaczymi u tylnego końca trzeciej komory mózgu. Ku przodowi w górę wychodzą ze szyszynki jej dwie łodygi, tworząc „*commissuram habernilarum*“; ku przodowi wdół dołącza się *commissura posterior*“. Fizjologia tego gruczołu jest jeszcze dość ciemna. Ciekawy jest jego wpływ hamujący dojrzewanie: u osobników, u których stwierdzono przedwczesny rozwój fizyczny, a zwłaszcza narządów płciowych (znane są wypadki zupełnego rozwoju u dziecka czteroletniego), sekcja pośmiertna stwierdzała zawsze zanik szyszynki. Stąd niektórzy fizjologowie uważają szyszynkę i gruczoł ogonowy jakgdyby za dwa talerzyki wagi: przerost funkcji jednego, powoduje zanik drugiego.

O drugim gruczole endokrynicznym głowy mówi Bławatska tak: „Przysadka (*hypophysis cerebri*) jest narządem małym i twardym, około 15 mm długości, a 8 mm średnicy. Składa się z części przedniej faszowatej i z tylnej okrągławej, obie ze sobą zetknięte. Części składowe przysadki są co do istoty równe składnikom szyszynki, między oboma gruczołami jednak niema żadnej łączności. Natomiast okultyści wiedzą, że jest tam łączność, nawet anatomiczna i fizyczna... U człowieka normalnego może adept widzieć złotą aureę, pulsującą w obu tych centrach jak bicie serca.



Po ćwiczeniach rozwoju jasnowidzenia ruch ten wzmacnia się i nabiera większej amplitudy drgań. Łuk pulsu w przysadce wznosi się coraz wyżej, aż wreszcie prąd, jak iskra elektryczna, trafi w szyszynkę i obudzi narząd drzemiący, wprawiając go cały w żar ognia czystego, akaśnego... Skoro zaś zmysł szósty obudzi raz zmysł siódmy, promieniejące ze siódmego światło rozświeci pola nieskończoności. Człowiek staje się na chwilę jasnowidzem... Niepojętem się to wydaje, żeby główna waga *guptawidji* (jasnowidzenia) miała zależeć od tak niepozornych gruczołów w czaszce, od dwóch brodawek, pokrytych szarym piaskiem.“

Wedle nowszych badań przysadki wydzielanie jej jest nie tylko dokrewne, lecz nadto wytwarza przysadka odrębną wydzielinę ergotropową, która przechodzi wprost do śródmózgowia, by tam pobudzać lub hamować ośrodki neuro-vegetatywne. Jest anatomicznie bezpośrednie połączenie przysadki ze śródmózgowiem zapomocą cienkiego pasma włókien nerwowych, oraz połączenie naczyniowe.

Szyszynka leży w oddaleniu  $3\frac{1}{2}$  cm za przysadką, nieco w górę, a sploty nerwów, odpowiadające tym dwóm gruczołom, nazywają się *plexus caroticus externus et internus*. O innych gruczołach endokrynicznych Bławatska nie mówi nic; podam zatem krótkie o nich szczegóły fizjologiczne.

W szyi, około *plexus laryngeus*, leży duży gruczoł, zwany tarczycowym, i mniejszy przytarczyczny (*glandulae thyroideae*); głównym hormonem, wydzielanym przez tarczycę, jest *tyroidyna*. Poza wpływami fizjologicznymi, jak rozwój kości i skóry, uodpornienie na zatrucia, przyswajanie białka, uwrażliwienie układu sympatycznego, uznają psychiatrzy także związek tarczycy z temperamentem i życiem psychicznym osobnika.

W piersi, między mostkiem a osierdziem, leży w miejscu ujścia głównych naczyń sercowych gruczoł grasicowy (*thymus*), sąsiadujący ze spletem sercowym (*plexus cardiacus*). Największa czynność grasicy przypada między 2-im a 10-tym rokiem życia, poczem powoli zanika; trwa dłużej tylko w związku z nieomogą nadnerczy. Hormon jej nie jest dotychczas znany, podobnie jej działanie; wiadomo tylko, że brak jej u młodych osobników powoduje niedorozwój kości, charłactwo i śmierć wkońcu.

Nad śledzioną, tuż przy kręgosłupie, leży trzustka (*pancreas*), będąca gruczołem mieszanym, wydzielającym, obok hormonu zwanego insuliną, także sok trawienny wprost do żołądka. Działanie obu wydzielin jest czysto fizjologiczne (przyswajanie cukru, trawienie pokarmów), a spletem odnośnym jest żołądkowy (*plexus epigastricus*), należący do układu przywspółczulnego; może zatem trafniej będzie odnosić do spletu słonecznego nie trzustkę, lecz gruczoły nadnercza, jako mające wpływ bardziej wielostronny.

Nadnercze (*glandulae suprarenales*) jest to gruczoł parzysty, nakrywający, jak czapką, każdą nerkę u góry. Kora nadnerczy (*cortex adrenalis*) wydziela hormon, działający na określenie płci i prawdopodobnie maskulinizujący; rdzeń nadnerczy (*medulla adrenalis*) wydziela hormon zwany *adrenaliną*, a składa się z komórek chromofilowych i z typowych zwojów nerwu sympatycznego. Hormony obu tych części nadnercza działają pod względem fizjologicznym głównie na wzrost i dojrzałość organizmu, na rozwój mózgu; a pod względem psychologicznym ciekawe jest to, że afekty takie, jak gniew, ból, strach, powodują obfitsze wydzielanie się hormonów.

Hormony gruczołów płciowych są już dość dokładnie zbadane, jakkolwiek hormon męski wyosobniono niedawno stosunkowo. Gruczołem żeńskim są jajniki (*ovaria*), wydzielające dwa hormony: *luteinę* i *follikulinę*, a męskim są jądra, względnie gruczoł sterczowy (*glandula prostatica*), wydzielający hormon podobny do follikuliny. Między gruczołami płciowymi a przysadką mózgową istnieje bardzo ściśle oddziaływanie wzajemne: zniszczenie jej chorobowe lub usunięcie powoduje zanik gruczołów płciowych. Splotami sąsiadującymi są tu: *plexus prostaticus*, względnie *plexus uterinus*.

Gruczoł ogonowy (*glandula coccygaea*) leży przy ścianie wewnętrznej kości ogonowej, składającej się z 4—5 kręgów, sąsiaduje zatem ze splotem krzyżowym (*plexus sacralis*). Ma rozmiary ziarnka konopnego, nieco podłużnego, zawiera pęcherzyki okrągławe i przewody proste i rozgałęzione. Hormony tego gruczołu i jego działalność fizjologiczna jest nieznaną.

Pomiędzy poszczególnymi gruczołami stwierdzono wybitny wpływ wzajemny, jużto wspomagający, jużto hamujący; z układem współczulnym zaś mają te gruczoły związek podwójny. Doświadczenia wykazały, że pomimo przecięcia wszystkich doprowadzających połączeń gruczoły wydzielają dalej, a więc układ sympatyczny ma tylko wpływ regulacyjny na ich wydzielanie; naodwrot zaś wydzielane przez nie do krwi hormony mają wpływ na pobudliwość układu sympatycznego. (Najwięcej doświadczeń przeprowadzono na gruczołach nadnercza.)

Podobnie wybitny jest wpływ wzajemny trzech układów nerwowych. „Układ sympatyczny\*) wiąże przedziwne stosunki z układem zwierzęcym (mózgowo-rdzeniowym) z jednej strony, a psychiką z drugiej... Prócz tego stwierdzono hierarchiczność ośrodków, które stoją do siebie w stosunku nadrzędności i podrzędności, z najwyższymi co do

---

\*) Przytaczam z dzieła prof. Pieńkowskiego: „Dusza i jej siedlisko w świetle badań“.

rangi ośrodkami, położonymi w *istocie szarej* III komory, a być może i w *ciele prążkowanym* (*corpus striatum*)... Anatomicznie stwierdzono już liczne ośrodki roślinne (układu sympatycznego) w międzymózgowiu..., do których zaliczamy: *corpus hypothalamicum* i *tuber cinereum*, z ośrodkami naczynioruchowymi, potowydzielczymi, zmian żrenic, regulacji temperatury, przemiany materji, regulacji wydzielania wody i soli... Poza tem w innych ośrodkach znajdujemy regulację ciśnienia osmotycznego i ciśnienia krwi, ośrodek hipotetyczny snu i czuwania i ośrodek mięśni gładkich (od woli niezależnych)“.

Nasuwa się tu analogja z twierdzeniem Bławatskiej o „siedmiu czakrach w głowie, będących kierowniczkami siedmiu wielkich splotów w ciele oprócz 42 mniejszych“. Przed laty pięćdziesięciu było już dla niej oczywistem to, co dopiero teraz odkrywają powoli badania fizjologiczne. Ta siódemka „czakr mistrzowskich“ kieruje splotami nerwów w całym organizmie; narządy niewidzialne są zatem kierownikami takich widzialnych, anatomicznych, organów, jak sploty nerwów i gruczoły dokrewne. Czy są jakie dowody, że tak jest rzeczywiście?

Niektórzy fizjologowie amerykańscy z typowym dla tej części świata materjalizmem stawiają hipotezę wprost przeciwną powyższej; tak np. dr Berman („Glands Regulating Personality“) uważa, iż „wszystkie dane przemawiają za tem, że *medulla adrenalıs* wydziela substancje, wywołujące zjawisko strachu, zaś *cortex* jest odpowiedzialny za wybuchy gniewu.“ Na innem miejscu mówi ten uczony nawet o hormonach „macierzyństwa i miłości Boga“, umieszcza pamięć spostrzeżeń w gruczole tarczycowym, a pamięć nabywaną studjami książkowemi w przysadce; wreszcie twierdzi, że „bez tarczycy nie istniałaby złożoność myśli“.\*)

Przypomina to sposób myślenia Napoleona Bonapartego, który przyczyn napadów swej zgryźliwości i gniewliwości dopatrywał się w niedomaniach wątroby. Wiemy wszyscy z doświadczenia codziennego, że zmartwienie odbiera apetyt, gniew ściska za gardło, strach zapiera oddech, radość rozszerza serce, a wstyd wywołuje rumieńce; nie wiemy jednak nic, czy nasza niedomoga wątroby może spowodować przykre zdarzenia w naszych przedsięwzięciach, czy bezbożnikowi można wstrzyknąć „miłość Boga“ iniekcjami hormonów, czy u człowieka znanego z odwagi można wywołać strach *adrenaliną*, lub uczonemu ułatwić dociekania zastrzykiem *tyroidyny*.

To, co wiemy z doświadczeń codziennych o wpływie uczuć i nastrojów psychicznych na funkcje organizmu fizycznego, przemawia raczej za hipotezą Bławatskiej. Skoro gruczoły endokryniczne są źródłem nietylko funkcyj

---

\*) A. Bailey: „Dusza i jej narzędzia“.

narządów fizycznych, lecz nawet budowy samego organizmu, a sploty nerwów dostarczają tym gruczołom energii do wytwarzania hormonów, to przyczyn takich zmian w splotach nerwowych, któreby pobudzały lub hamowały działalność gruczołów, szukać można tylko w zajęciach psychicznych.

Wiedziała o tem dawna tradycja Wschodu, która rozwój „władz nadzmysłowych“ (kwiatów lotosu) opierała na ćwiczeniach nie fizycznych, lecz psychicznych; taką samą drogę rozwoju przepisywały dawne „szkoły tajemne“ hermetyków, pitagorejczyków, różokrzyżowców, i taką samą podają również „wtajemniczeni“ nowocześni, żeby tylko wymienić Bła-watską lub Steinera.

Droga ta była — i jest do dziś — poprostu tylko umoralnianie się własnym człowiekiem. Przepisy i sposoby tego umoralniania się mogły być w różnych czasach i w różnych „szkołach“ różne, cel ich jednak ostateczny pozostał zawsze ten sam: opanowanie siebie i oczyszczenie wewnętrzne tak zupełne, żeby żadne myśli nieodpowiednie, ani żadne uczucia niskie nie mogły zakłócać doskonałej harmonji duchowej.

Najściślej związał ćwiczenia umoralniające z rozwojem lotosów Steiner, podając osobny „warunek“ dla każdego listka w każdym z kwiatów lotosu; inni autorzy podają takie same „warunki“, mimo że nie odnoszą ich tak drobiazgowo do każdego poszczególnego lotosu. Ta systematyka Steinera ma niewątpliwie dużą wartość pedagogiczną, unaocznia bowiem podejmującemu ćwiczenia, co budzi każde z tych ćwiczeń, i nie pozwala mu lekceważyć lub opuszczać któreś z ćwiczeń, jako pozornie mniej ważne.\*)

Czy takie świadomie podejmowane umoralnianie się może poza korzyścią kształcenia charakteru dawać także korzyści fizjologiczne przez wpływ rozwiniętych kwiatów lotosu na gruczoły dokrewne, a przez nie na zdrowie fizyczne i znakomite funkcjonowanie organizmu? Ludzie tacy — poza zdolnościami jasnowidzenia i innymi „władzami“ nadzmysłowymi, bystrością umysłu i zaletami serca — powinnyby się cieszyć także odpornością organizmu na choroby, wytrzymałością na trudy fizyczne i długowiecznością; czy są na to jakie dane obserwacyjne?

Odpowiedzi na to dostarczyłby mogli przedewszystkiem „święci“ różnych czasów i różnych wyznań, ci bowiem posiadali niewątpliwie poziom moralny niezwykle wysoki, a przeważnie także posiadali różne „władze nadzmysłowe“, uzdolniające ich do czynienia „cudów“. Otóż pra-

---

\*) Podobna systematyka zachowana jest w książce „Droga w światy nadzmysłowe“. Do nabycia w red. „Lotosu“ (przyp. red.).

dawnym „mędrcom“ indyjskim (*riszi*) przypisuje tradycja zgodnie — nawet z uwzględnieniem swoistej rachuby czasu — długowieczność nadzwyczajną, a to samo utrzymuje o swych „prorokach“ tradycja perska i hebrajska.

We wiekach późniejszych, gdy już dawna „wiedza tajemna“ schroniła się w zacisze świątyń, a jej okruchy nabierały zabarwienia coraz więcej materialistycznego, w p a c z a ł y się również stopniowo metody kształcenia charakteru. W miejsce — niezwykle trudnego bezwątpienia — umoralniania się przez opanowanie myśli i uczuć wchodziło stopniowo opanowywanie „grzesznych żądz ciała“ przez u m a r t w i a n i e go, a w Indjach przez bolesne ćwiczenia (*tapas*) fizyczne hathajogi.\*) Wybujałe praktyki ascezy (pustelnicтво, zamknięcie w klasztorach, posty, biczowania) mogły wprawdzie rozwinąć pewne władze nadmysłowe (najczęściej jasnowiedzenie), ale kwitnącemu zdrowiu fizycznemu ani długowieczności nie sprzyjały. Stąd też zapewne święci średniowieczni żyli przeważnie dość krótko, a jedną z dalszych przyczyn mogła być także gorąca tęsknota do wyzwolenia się z ciała fizycznego.

W czasach n o w s z y c h już daje się zauważyć większa długowieczność u jasnowiedzów. Svedenborg żył 84 lat, Bławatska mimo chorowitości dożyła lat 60-ciu, Rama-Kriszna, współczesny święty indyjski, żył od 1833 do 1886, a średniowieczny święty, Kabir, doczekał lat 78; długim życiem cieszyli się także Mesmer (82 lat), Delaune (79), Steiner, Leadbeater i Besant (87), a znana jest ich niezwykła do późnego wieku wytrzymałość na trudy fizyczne. Byli to wszystko ludzie, którzy swe uzdolnienia nadnormalne rozwinęli nie treningiem fizycznym lub ascezą, lecz kształceniem charakteru.

Przemawiałoby to również na korzyść hipotezy, wedle której „kwiaty lotosu“ mają poprzez sploty nerwowe wpływ na gruczoły dokrewne, a przez nie na budowę i funkcje organizmu fizycznego. Czy istnieje podobny wpływ w kierunku p r z e c i w n y m, od dołu w górę, a więc od ciała fizycznego poprzez gruczoły i sploty nerwu sympatycznego na kwiaty lotosu? Według prawa odwracalności reakcyj powinno to być w pewnych warunkach możliwem.

Otóż fakty stwierdzają, że jest tak w pewnych warunkach, lub może raczej w pewnym s t o p n i u. Zapomocą ćwiczeń hathajogi m o ż n a uzyskać n i e k t ó r e zdolności do odbierania wrażeń nadmysłowych. Nie są to oczywiście żadne ćwiczenia oddechowe, gdyż te oprócz rozedmy płuc niczego nie rozwijają; ćwiczenia oddechowe zresztą podają tylko europej-

---

\*) Godne uwagi jest, że wszystkie późniejsze dzieła tantryczne (H. G. W, B, Ś) zgodnie obiecują za te udręczenia nietylko „władze cudowne“, lecz także „kwitnące zdrowie i długie życie“, a przedewszystkiem „panowanie nad duchami, nad ludźmi, nad zwierzętami i nad przyrodą“.

szy „hathajogini“, wskutek nieznamości tematu mieniający *pranę* z powietrzem atmosferycznym.

Bezpośrednie stwierdzenie anatomiczne, że kwiaty lotosu mają wpływ na gruczoły dokrewne i na funkcje organizmu fizycznego, wymagałoby współpracy psychologii i fizjologii w tym specjalnym celu. Musiałyby to być obserwacje długoletnie charakteru osobników od lat dzieciennych aż do zgonu, z równoległymi obserwacjami stanu ich organizmów, a wreszcie anatomiczne stwierdzenie pośmiertne tego stanu organizmu ze szczególnem uwzględnieniem układu nerwowego i gruczołów. Pewnego materiału do stwierdzeń dostarczyć mogłyby podobnie sekcje pośmiertne osobników, znanych za życia z wysokiego poziomu moralnego, lub z posiadania uzdolnień parapsychicznych (jak np. jasnowidzenie, medjalność). Dopóki takich stwierdzeń niema, sprawa istnienia kwiatów lotosu i wpływu ich na organizm fizyczny może być w pewnym stopniu rozstrzygnięta jedynie warunkowo, jako wynik wnioskowania z różnych objawów znanych. Wynik ten można streścić w słowach następujących:

1. W ustroju człowieka istnieją prócz narządów anatomicznie stwierdzanych także narządy niematerjalne, położone w pewnych określonych miejscach ustroju, zwane kwiatami lotosu.

2. Narządy te służą do odbierania wrażeń pozazmysłowych i do przenoszenia tych wrażeń do świadomości osobnika.

3. Narządy te działają poprzez odnośne ośrodki nerwowe, a wpływ ich wyraża się ponadto zmianami fizjologicznymi w gruczołach endokrynicznych.

4. Budzenie do działalności, względnie rozwijanie tych narządów nadzmysłowych, wymaga podobnie wprowadzania zmian w części nadzmysłowej ustroju człowieka, a zatem zmian w jego charakterze, w jego poziomie etycznym.

Oto wnioski, które wydawały mi się wypływającymi logicznie z rozbioru krytycznego całego materiału, wyżej przytoczonego.

M. Wiktor (Kraków)

## Nasza współczesność

Liga Narodów ogłosiła w tych dniach — jak donosi „Świat“ z 6. VI. b. r. — statystykę położenia ekonomicznego na świecie. Jak z niej wynika, na 2,000 milionów ludzi na kuli ziemskiej tylko  $\frac{1}{4}$  jest syta i należycie odziana,  $\frac{3}{4}$  zaś, czyli 1,500 milionów ludzi wegetuje w nędzy.

Znamiennym jest głos ks. biskupa dra Franciszka Bardy z Przemyśla, który w swoim liście pasterskim pisze m. i.: „Ucisk powszechny, jak morze, rozlewa

się po całym świecie. Groza wielkich przewrotów wśród ludzkości wzmaga się i potężnieje. Wśród ogólnej nędzy i bezrobocia, państwa nie tylko myślą, lecz naprawdę zbroją się gorączkowo na ziemi, na morzu, w powietrzu. Wynajdują coraz straszniejsze w skutkach trujące gazy, sporządzają coraz potworniejsze armaty, sięjające śmierć i pożogę na kilkadziesiąt kilometrów wokoło. Zwaźcie! Wspomniane środki wojenne sposobią ludzi przeciw swym braciom, aby ziemię zanurzyć we łzach i skąpać w potokach krwi, jakich w swych dziejach nie widziała. Słusznie odzywają się głosy, że ludzkość stoi nad przepaścią, której głębokości ani dna nikt dojrzeć nie zdoła. Do takiego stanu rzeczy doszła ludzkość w wieku XX, który się chwali olbrzymim postępem wiedzy, kultury i wynalazków. Zdrowy rozsądek dyktuje, że oświata i postęp powinien ułatwić życie ludziom na ziemi. Tymczasem sprawy układają się przeciwnie. Zamiast ulgi, rośnie ucisk; zamiast dobrobytu, doskwiera nędza i głód; zamiast wzajemnej uczciwości i miłości, szerzy się nędza i bezprawie.“

Ks. biskup Barda przyczynę tego widzi przede wszystkim w niewierze i bezbożności. Nie tak prostą jest jednakże sprawa ta dla świętego angielskiego pisarza H. G. Wellsa. Przerazony jest on bezwładem, jaki ogarnął świat cały. Nie rozumie fatalizmu, w który popadła Europa. Nie wystarcza mu stwierdzenie faktu, że jest źle, lecz szuka przyczyn i dróg do poprawy. Na świecie, zdaniem Wellsa, walczy ze sobą idea uniwersalizmu i nacjonalizmu. Mózg ludzki jest uniwersalistyczny, lecz intelektem naszym rozumiemy wprawdzie wszystkie konsekwencje, jakie życie nasuwa, ale ich urzeczywistnieniu staje na przeszkodzie arcykonserwatywne uczucie. Uniwersalizm, jak podkreśla Wells, jest koniecznością, ale serce i uczucia tkwią nadal w ciasnym nacjonalizmie. Stąd wyciąga on swoje wnioski:

Pierwszy z nich jest stwierdzenie, że są narody syte i narody głodne. Ta przepaść między narodami musi doprowadzić do wojny. Wojnie zapobiec tylko może kontrola, obejmująca świat cały. Wells wie dobrze, że mogą go fałszywie zrozumieć i dlatego wyjaśnia, że nie chodzi mu o jakieś rządy nad całym światem, lecz o coś w rodzaju konsorcjum światowego, o jakąś stałą radę, opartą na podstawie federacyjnej, któraby kierowała produkcją, rozdzielała dobra natury i wytwórczości ludzkiej i regulowała w interesie ludzkości wszelkie zmiany zachodzące w gospodarce światowej. Takie konsorcjum mogłoby też kontrolować międzynarodowe operacje kredytowe i stworzyć jednolitą walutę światową. Nie jest to rzeczą niemożliwą, a jeśli wydaje się utopją, to można to sobie wytłumaczyć tem, że wojna pozostała nadal ultima ratio, a człowiek przeciętny nie stał się jeszcze pacyfistą.

Obok tego konsorcjum troszczyć się jeszcze ma o międzynarodową kontrolę urodzin, o jakiś organ dla międzynarodowej komunikacji, wreszcie powołać należy do życia coś w rodzaju międzynarodowego Scotland Yardu, tępiącego wszelkie zbrodnie przeciwko uniwersalizmowi. Do tego wszystkiego potrzebna jest tylko jedna drobnostka. Należy ludzkość wychować w duchu pozytywnego i twórczego liberalizmu. I zlikwidować wreszcie koncepcję państwa, opartego na zaborczym nacjonalizmie imperialistycznym.

Tyle Wells. Ale przyzna każdy, że poglądy jego są zbyt utopijne, by można je traktować na serio. Na świecie bowiem i w historii ludzkości nietyle panuje rozum, lecz namiętność — i na to nie pomoże żaden Wells!

W jednym z najpoważniejszych czasopism emigracji niemieckiej znany publicysta Louis Fischer — odbywszy podróż po stolicach Europy — takie snuje rozważania na temat możliwości wybuchu wojny:



„...przeszkody, jakie stoją jeszcze na drodze wojny, zmniejszają się i słabną. Państwo, które pragnie rozpętać wojnę, może już dziś dowolnie decydować, kiedy i gdzie ma być spuszczone z łańcucha mechaniczny mord masowy. Skłonni do ataku autokraci mają wszystkie atuty w rękę; również inicjatywa przeszła całkowicie do nich. Wola zapobieżenia wojnie uwikłała się w ciężki kryzys.“

A oto głos Hulki-Laskowskiego („Nowy świat — starzy ludzie“. Nowy Dziennik 7. VI. br.) o wojnie światowej:

Podczas wojny światowej panował nastrój, który byłoby można nazwać apokaliptycznym. Podczas gdy ludzie ginęli setkami tysięcy w walkach orężnych, w głodzie i nędzy, w sercach ich dojrzywała pewność niezachwiana, że zbliża się nowy świat, że ta wojna, która kosztowała tyle łez i tyle krwi, jest wojną ostatnią, wojną przeciwko wszelkim wojnom.

Istotnie, przyszedł nowy świat, niosąc z sobą przemiany, jakich nikt oczekiwać się nie ważył, ale w tym nowym świecie brakło nowych ludzi. Czy zwrócono już uwagę na fakt, że tym nowym światem zawładli odrazu ludzie starzy, ludzie starych nałogów myślowych, starej polityki, starych namiętności świata dawnego? Czy obliczono już straty najstraszliwsze, jakie ludzkość poniosła w tej wojnie w postaci śmierci całego jednego pokolenia ludzkiego?

W dalszym ciągu omawia on jedną z najciekawszych ksiązek doby dzisiejszej: listy poległych studentów niemieckich, zebrane i wydane przez prof. Wittkopa. One to pokazują, ile idealizmu młodzieńczego zginęło w tej wojnie światowej, ile entuzjazmu, talentu i „tej specjalnej mądrości, którą jest mądrość serca“. I oto teraz światu brak serca, myśli i uczuć najlepszych tego pokolenia całego, które zamiast rządzić, tworzyć, organizować świat i ludzkość, zostało wymordowane. Oto niektóre z owych listów:

Młody architekt pisze jakieś mistycznie piękne listy do brata o dziełach, które rodzą się w jego sercu i głowie. Młodzieńcki filolog z dziecięcą tkliwością pisze do matki o pięknie świata, patrzy na kwiaty, słucha śpiewu kosa i każdym drgnieniem serca pozdrawia życie, podczas gdy śmierć stoi o niewiele godzin od niego. Jakiś młodzieńcki teolog z przerażeniem szuka miłości chrześcijańskiej, głoszonej im co niedziela przez kapelanów wojskowych, i nie znajduje jej. Inny młodzieniec opowiada matce swojej o tem, jak na patrolu nocnym spotkał się w leju po olbrzymim granacie z konającym francuskim rezerwistą. Odrazu stali się przyjaciółmi. Francuz z ufnością oddał mu listy, fotografie i pierścionki z prośbą o nadesłanie ich żonie, a Niemiec czuwał nad ostatnimi chwilami tego „wroga“, jakby siedział u łóżka cierpiącego brata. Nie, to się powtórzyć nie może i nie powinno. Tak pisali ci młodzi, których mordowała okrutna polityka ich ojców. Niektórzy z nich, rozumiejąc, że już nie wyjdą żywi z tego straszliwego piekła, prosili przyjaciół i młodszych braci, aby pracowali nad upokojeniem świata.

Nieobecność tych ludzi, o płomiennych sercach i jasnych duszach, to źródło wszystkich kryzysów dzisiejszych.

„Ich miejsce zajmowali starzy przedstawiciele nienawiści rasowej i klasowej, narodowej i społecznej. Powyganiali królów i cesarzy, ale stali się postokroć gorsi od nich. Podczas gdy tamci musztrowali armje i gotowali nowe walki frontowe, ci musztrują całe narody i przygotowują już nie fronty przyszłych walk, ale rzezie całych narodów.“

To też cóż dziwnego, że świat zszarzał, skulił się, przycichł, oczekując nowego ataku bombami i gazami trującym? Brak nam wielkich filozofów, wielkich pisarzy, wielkich przewodników ludzkości. Gdzież owe czasy, w których wolny obywatel dyskutował nawet z królami i cesarzami, w których znakomici myśliciele i poeci rzucali światu śmiało, piękne myśli o braterstwie wszystkich ludzi, o równości i wolności?

„Młode pokolenie dzisiejsze nie znało świata przedwojennego, pokolenie stare zagarnęło władzę w swoje ręce i uczy świat jedynej mądrości, na jaką je stać: nienawiści, zawiści, walki. Zubożała Europa musi przejść przez nowe piekło doświadczeń starczej głupoty i tępoty, zanim młodość spostrzeże, że te rzezie masowe nie mają sensu i że nie wojna jest celem świata, ale praca z jej twórczym świętym niepokojem, który zapewnia szczęście wszystkim dzieciom tej ziemi.“

Nie wystarczy znać naszą rzeczywistość dzisiejszą, nie wystarczy choremu postawienie diagnozy, lecz trzeba coś uczynić, by było lepiej. T. zw. „okultyzm“ (zupełnie zresztą niesłusznie tak nazwany) nie jest i nie śmie być ucieczką przed światem, ani dziecinną i prostacką żądzą tajemniczości, ani w mrokach ukrytą, zakonspirowaną małą megalomanów! Ale jest on pewnym światopoglądem, kośćcem duchowym czynów człowieka, wiarą nawet, jeśli kto woli — ale wiarą związaną z życiem, światopoglądem o konsekwencjach praktycznych. Współczesności naszej nie brak tegich głów — ale brak jej mędrców, o duchowości silnej i pełnej. Owe światło, które tkwi w najtajniejszych głębiach naszego JA jest pochodzenia Boskiego, i ono to było przewodnikiem wszystkich prawdziwych mędrców, znane w starożytności i średniowieczu, a przez naszą współczesność zagrzebane i zdeptane. „Okultyzm“ zna potęgę myśli, zna pośrednie oddziaływanie duchowego nastawienia jednostki na ewolucję nie tylko ludzkości, ale wszechświata całego. Harmonja kosmosu wiąże się ściśle z harmonją w nas samych. Każde społeczeństwo wznosi się na etycznej i moralnej sile poszczególnych jednostek. Byłoby wielkim błędem sądzić, iż poszczególny człowiek w niczem nie może się przyczynić do poprawy całego świata. Wręcz przeciwnie! Tylko dzięki świadomej pracy każdej jednostki nad sobą, dzięki żywemu jego wzorowi w obrębie codziennego pola pracy, zmienia się powoli lecz trwale obraz świata. To też najwyższym zadaniem w służbie ludzkości musi być dla każdego ukształtowanie własnego życia jak najbardziej szlachetnie, harmonijnie i pozytywnie, jak najbardziej owocnie i w świadomości ostatecznych celów.

Rozstrzygnięcie w kwestji postępu lub rozkładu społeczeństwa ludzkiego leży w rękach jednostki, jako pierwotnej przyczyny wszelkiego stawania się.

## Sen a rzeczywistość

### I.

W czynnym naszym i ruchliwym życiu, po trudach i znojach przepracowanego dnia nadchodzi wreszcie moment, gdy mięśnie nasze słabną, mózg przestaje działać sprawnie a oczy zamykają się do wypoczynku i snu. I w stanie snu spędzamy przeciętnie prawie trzecią część naszego życia, przez jedną trzecią część życia nie jesteśmy sobą, jesteśmy od życia wyłączeni, przerywamy naszą działalność na planie fizycznym potę, by ją po przespanej nocy rozpocząć znów od momentu, w którym ją poprzedniego dnia przerwaliśmy. Dziwny to stan ten stan snu i warto się nad nim głębiej zastanowić i zanalizować poszczególne jego objawy tak na planie fizycznym jak i na innych planach.

Kwestją, jak się fizjologja zapatruje na przyczyny zapadania w sen, nie będziemy się tu szerzej zajmowali. Stanowisko jej jest ogólnie znane. Porównywa ona sen do palacza, który musi dbać o to, by w piecu nie nagromadziło się zbyt dużo produktów palenia — popiołu i sadzy, a ponadto musi co jakiś czas dokładać paliwa, przytłumiać niem na chwilę ognisko. Podczas snu zatrzymuje się motor organizmu, aby krew mogła zabrać i wyrzucić produkty przemiany materji i substancje rozkładowe a dostarczyć tkankom — miliardom żywych komórek, z których składa się nasze ciało, nowe zapasy materiałów odżywczych i tlenu.<sup>1)</sup>

Powszechnie zatem sądzi się, że sen jest wynikiem zmęczenia organizmu jego pracą, z powodu nagromadzenia się w mięśniach pewnych substancyj, które znikają w miarę wypoczynku a potem znów się gromadzą, kiedy organizm wykonywa pewne ruchy. Substancją, która paraliżuje kurczliwość włókien w mięśniach, czyli wywołuje zmęczenie, jest kwas mlekowy, podobny do tego, jaki znajduje się w siadłem mleku. Kwas ten wytwarza się w mięśniach wskutek zużycia tlenu podczas pracy a znika wtedy, gdy krew doprowadzi nowe zapasy tego odżywczego gazu. Na miejsce kwasu mlekowego wytwarza się w odpoczywającym mięśniu cukier, który stanowi nowy zapas energii do wykonywania dalszej pracy. Objawy zatem zmęczenia są sygnałem organizmu, że potrzebuje on spokoju i wypoczynku, a sen jest właśnie tym wypoczynkiem całego organizmu.

Dalsze badania naukowe wykazały duże zmiany w czasie pracy organizmu również w komórkach nerwowych. Stwierdzono, że w komórkach nerwowych zwierząt sennych zachodzą poważne zaburzenia<sup>2)</sup> i próbowano nawet wyobębnić toksyny, które owe zaburzenia w tych komórkach nerwowych powodowały.

Wszystko to razem nie rozwiązuje nam jednak kwestji snu. Po pierwsze zapadają w sen również ludzie ciężko pracujący, tak fizycznie jak i umysłowo, jak również i próżniacy wylegujący się przez cały dzień na łożku.

<sup>1)</sup> Dr. F. Kłapkowski: Dlaczego śpimy?

<sup>2)</sup> Rozpad jądek w t. zw. ciałkach Nissla albo tigroidach albo wybitne obrzmienie tych jądek, gdy zwierzęciu dłuższy czas nie dano spać.

Ci ostatni śpią czasem nawet więcej, niż ludzie pracy. Po drugie wiemy z doświadczenia, że najbardziej czasem zmęczony człowiek nie może zasnąć pod wpływem silnych podnieć psychicznych, jak zmartwienie, lub fizycznych, jak ból. Największe wysiłki woli nic tu wtedy nie pomogą. Mimo silnego zmęczenia potrafimy nieraz zbudzić się sami o oznaczonej sobie wieczorem godzinie, bez zegara, z dokładnością do kilku minut.

I pytają dalej uczeni<sup>3)</sup>, że jeśli sen ma być wynikiem specyficznego zatrucia systemu nerwowego, to dlaczego przychodzi tak nagle i jest tak regularny? Na podstawie dokonanych doświadczeń okazało się, że sen jest najgłębszy po 1½ do 2 godzin po zaśnięciu, następnie spada zrazu bardzo intensywnie, potem wolniej, aż do piątej godziny po zaśnięciu, poczem znowu głębokość snu się wzmacnia. Wszystkie doświadczenia wskazują na to<sup>4)</sup>, że głębokość snu jest dla orzeźwienia organizmu o wiele ważniejszą, niż długość snu. Już Fechner powiedział: „że twoje dzisiejsze życie na jawie zawdzięczasz temu, żeś wczoraj spał; im głębiej dziś zaśniesz, tem żwawszym się jutro obudzisz, a im żwawiej pracowałeś, tem głębszy będzie twój sen. Gdy okoliczności tego wymagają, można długość snu łatwo zastąpić jego głębokością. Rehms podaje wypadek, gdzie piekarz, który przez cały dzień bardzo ciężko fizycznie pracował, spał w nocy od 10-tej do pierwszej; potem wstawał z łóżka, pracował znów godzinę za swego czeladnika, poczem znów spał siedząco na kanapie od 2-giej do 3-ciej. Te 5 godzin snu wystarczało mu zupełnie; pierwszy jednak sen w łóżku był tak głęboki, że gdy raz wybuchł tam o północy pożar, nie można się było piekarza obudzić i wyniesiono go śpiącego z zagrożonego pokoju, przyczem obudził się dopiero o pierwszej.

Do podanych trudności rozwiązania kwestji snu dołączają się jeszcze i dalsze. Jak wyjaśnić sen magnetyczny i somnambuliczny, które pojawiają się niezależnie od zmęczenia organizmu. Co zrobić ze snem hipnotycznym i ze snem letargicznym, w którym śpiący może pozostawać przez kilkanaście dni bez żadnych prawie oznak życia? Nauka, opierająca się jedynie na faktach i obserwacjach fizycznego doświadczenia i pozostająca w ramach fenomenów materialnych — nie będzie nam mogła powiedzieć tu swego ostatniego słowa. Właściwego rozwiązania musimy szukać gdzieindziej.

Już Szekspir nazywał sen kąpielą ożywczą dla trudu i znoju, balsamem dla chorej duszy i zbiornikiem wszelkich sił. U Greków i Rzymian sen był bogiem, którego samo zbliżenie się w postaci cicho nadlatującej sowy — usypiało człowieka. Pradawne sagi niemieckie głoszą wiarę, że sen powstaje przez to, iż dusza oddziela się chwilowo od ciała<sup>1)</sup>. W postaci chrząszcza, myszy lub węża wychodzi ona przez usta a ciało zapada w sen i dopiero gdy dusza powraca rano do ciała — śpiący budzi się. Prosty lud zna dobrze ważkość snu i często zanim ktoś podejmie ważną decyzję, woli ten plan „ospać“<sup>2)</sup>, t. j. przespać z tym planem przynajmniej jedną noc — i wierzy, że dobrze na tem wyjdzie.

<sup>3)</sup> Dr Franciszek Kłapkowski w cytowanym artykule.

<sup>4)</sup> Dr Fischer-Defoy: „Schlafen und Träumen“, str. 12.

<sup>1)</sup> Dr F. Defoy: „Schlafen und Träumen“, str. 5.

<sup>2)</sup> Niemcy mówią: „einen Plan heschlafen“.

Najciekawszym jest fakt, że brak snu więcej rujnuje zdrowie i organizm, niż czasowy brak pokarmu. Znane są chińskie tortury, polegające na ustawicznym budzeniu torturowanych. Metody tej używali przy swych indagacjach również bolszewicy w czerezwyczajkach. Dzikie sokoly oswajano w dawnych czasach w ten sposób, że im dłuższy czas nie dawano spać. Brak snu wpływa bardzo niekorzystnie na elastyczność umysłu. Weygandt skracał czas snu o 3 godziny osobom, które poddawał doświadczeniom. Następnego ranka występowało silne osłabienie pamięci a doświadczane osoby potrafiły rozwiązać tylko połowę zadań matematycznych, które poprzedniego dnia rozwiązały bez trudności. Próby te i szereg innych wykazują, jak zresztą mówi i nasze codzienne doświadczenie, że fizycznie i umysłowo rozwija w całej pełni swe siły tylko ten, kto korzystał ze spokojnego i głębokiego snu.

Posłuchajmy teraz, co o śnie mówi okultyzm? Wszyscy okultyści zgodnie twierdzą, że we śnie następuje inny układ ciał niewidzialnych człowieka, jak w stanie jawy. Wykroczymy tu już częściowo poza teren parapsychologii a wejdziemy w dziedziny czystego okultyzmu. Wprawdzie parapsychologia uznaje już dziś istnienie ciała eterycznego i bada jego funkcje a nawet zaczyna do wyjaśnienia pewnych fenomenów parapsychicznych dopuszczać już również hipotezę roboczą ciała astralnego — to jednak w kwestji snu dane parapsychologii nie będą dla nas wystarczające, bo, jak zobaczymy, ciało eteryczne pozostaje w czasie snu przy ciele fizycznym i nie będzie grało w naszych dociekaniach większej roli. Zatem siłą faktu musimy przejść na tereny okultyzmu i zetknijemy się z faktami, których naszymi zmysłami fizycznymi nie możemy narazie stwierdzić; zobaczymy jednak ich pochodne w świecie fizycznym i one będą dla nas sprawdzianem czy wnioski nasze były słuszne.

Twróca antropozofji, dr Rudolf Steiner, tak opisuje stan snu: „Gdy człowiek zasypia, zmienia się układ jego członów. To co pozostaje na łóżku, zawiera w sobie ciało fizyczne i ciało eteryczne, ale bez ciała astralnego i jaźni. Życie może trwać podczas snu dlatego, że w ciele fizycznym pozostaje również ciało eteryczne, bo w momencie gdyby ciało fizyczne pozostało samo, nastąpiłaby śmierć i rozpadnięcie się tego ciała. We śnie zanikają myśli, radość i cierpienie, przykrości i troski, znika również możliwość świadomego wyrażania swej woli i inne podobne objawy psychiczne. A wszystko to tkwi przedewszystkiem w ciele astralnym. Nie należy przypuszczać, że w tym czasie ginie ciało astralne wraz z całym kompleksem swych uczuć, przedstawień i aktów woli — nie, ono tylko bytuje w innej płaszczyźnie. By jaźń człowieka miała jasne poczucie tego kompleksu uczuć, przedstawień i aktów woli, musiało astralne być ściśle zespolone z ciałem eterycznym i fizycznym. Ma to miejsce na jawie, w czasie snu jest zaś inaczej. Ciało astralne wyodrębnia się we śnie i znajduje się w innym stanie jak wtedy, gdy jest połączone z fizycznym i eterycznym. Zadaniem ponadzmysłowej obserwacji jest zająć się tym odmiennym stanem bytowania ciała astralnego. Zmysłom zwyczajnym wymyka się ono w tym czasie — ale narządy ponadzmysłowej obserwacji mogą je śledzić aż do momentu, gdy wraca zpowrotem do ciała fizycznego.“<sup>3)</sup>

<sup>3)</sup> Die Geheimwissenschaft im Umriß, str. 49—50 (wyd. 1925).

„Jak i w innych wypadkach badania ukrytych objawów ducha i przyrody, tak też i przy badaniu rzeczywistego podkładu procesu snu koniecznym jest posługiwanie się obserwacją nadzmysłową. Jeśli jednak ta obserwacja da nam pewne wyniki — może je nieuprzedzony umysł łatwo pojąć i sobie przyswoić.

Duchowe przyczyny zjawisk odbijają się wyraźnie na planie fizycznym. Jeśli zobaczymy, że wyniki ponadzmysłowej obserwacji jasno tłumaczą nam fakta fizyczne, skądinąd niezrozumiałe, jest to najlepszym dowodem realności i prawdziwości tej obserwacji. Kto sam jeszcze nie rozwinął w sobie narządów ponadzmysłowego spostrzegania, niech przynajmniej zapozna się z wynikami tej obserwacji, jakie uzyskali inni i niech je zastosuje do wyjaśnienia faktów i fenomenów z własnego zakresu spostrzegania. Zobaczy, że w ten sposób życie i jego objawy staną mu się jaśniejsze i bardziej zrozumiałe i to tem bardziej, im uważniej i dokładniej będzie badał wszystkie, nawet najdrobniejsze, objawy codziennego życia.“

Zacytowałem te ustępy in extenso, by po pierwsze wyjaśnić czytelnikom okultystyczne ujęcie snu, po drugie zaś zwrócić uwagę, że w terenie, w którym się obecnie poruszamy, często będziemy musieli opierać się na tych wynikach ponadzmysłowej obserwacji. O tej zatem ponadzmysłowej obserwacji trzeba będzie powiedzieć słów parę.

C. d. n.

M. Wiktor (Kraków)

Z cyklu „Rak a homeopatja“.

## O tak zwanych promieniach ziemnych

i ich działaniu na człowieka, zwierzęta i rośliny.

(Ciąg dalszy.)

Niemniej ciekawe i silne ma być oddziaływanie owych „promieni ziemnych“ na człowieka. Wszyscy różdżkarze twierdzą zgodnie, iż wpływają one wybitnie niekorzystnie na harmonijne funkcjonowanie naszego organizmu lub — conajmniej — sprzyjają powstawaniu różnych zaburzeń, zmniejszając odporność komórek. Opierając się na niektórych zdobyczach dzisiejszej biologii, wykazujących, że każda komórka stanowi obwód zamknięty elektrycznych drgań, są zdania, iż promieniowanie ziemne działa bądźto hamująco na ową „biologiczną elektryczność“ komórki, lub też wywołuje napięcia zbyt mocne, prowadzące do zmian patologicznych komórek.

Następujące choroby i dolegliwości stoją podobno w ścisłym związku z promieniami ziemnymi: bezsenność, zaburzenia normalnego snu, ranne osłabienie, niespokojny sen u dzieci, bóle głowy, melancholja, porażenia, epilepsja, zamroczenia, kurcze żołądkowe, astma, reumatyzm, ischias, wysokie ciśnienie krwi, wodna puchlina, choroby serca, żylaki, wole, choroba Basedowa, schorzenia ocz i uszu, katary, choroby żółci i wątroby, żołądka i jelit, zwiększona gotowość do infekcyj, cukrzyca, a wreszcie — jako najważniejsze — rak.

Lista chorób jest więc niemała, i różdżkarze mają w czem wybierać, co

w znacznym stopniu utrudniałoby ściśle i jednoznaczne badania. Kobiety są rzekomo bardziej wrażliwe na promieniowania ziemne, niż mężczyźni. Najsilniej występują owe dolegliwości podczas nocy. Już baron Reichenbach zauważył swego czasu, iż jego senzytywni w niektórych miejscach gorzej śpią, w innych znacznie lepiej. Lecz dziś dopiero szeroko rozpowszechniło się przekonanie, że są łóżka (które w myśl teorii różdźkarzy stoją w miejscach silnie promieniujących), z których po źle spędzonej nocy wstaje się rano o wiele słabszym i „połamany”, niż czuliśmy się wieczorem, kładąc się do nich na spoczynek. Niejednokrotnie sama zmiana łóżka, względnie przestawienie go w inne miejsce, likwidowało ów stan.

Dla poparcia swych teorii posługują się odnośni badacze bardzo chętnie tak modną dziś, lecz nieraz także bardzo niebezpieczną i zwodną — statystyką. Nie brak wśród tych badaczy poważnych, powiedziałbym, solidnych nazwisk. I tak w nrze 29. poważnego czasopisma lekarskiego, *Medizinische Welt*, z roku 1928, podaje tajny radca sanitarny dr Bach wyniki badań jednej ze znanych austriackich różdźkarzy, pani Winzer. Badała ona różdżką swą 34 domy, w których miały miejsce 32 wypadki śmierci na skutek raka, oraz 23 wypadki chronicznego reumatyzmu, newralgii, chorób serca, chronicznych schorzeń żołądka, jelit, bezsenności i t. p. Badania te rozszerzył później dr Bach na 200 domów, a wyniki — według niego — przemawiają za teorią promieni ziemnych. Starał się on — jak zapewnia — uczynić wszystko, by wykluczyć wpływy sugestji; różdźkarz nic bliższego nie wiedział o danych domach i t. p. Bliżej jednakże — niestety — nie opisuje metody, którą się w tym wypadku posługiwał. W każdym poważniejszym dziele na temat promieniowania ziemnego można znaleźć całe kolumny cyfr i zestawień statystycznych.

Przeciwnicy owych teorii wysuwają jednakże poważne zastrzeżenia przeciwko tej metodzie. Wskazują oni przede wszystkim na to, że istnieje także mnóstwo chorób, powodowanych rzekomo promieniami ziemnymi, aczkolwiek czyniono już zgóry iluzoryczną ściśłość takiego zestawienia. Niejednokrotnie nawet podejmowano się żmudnej pracy statystycznego obliczenia wypadków, co do których nawet zwolennicy teorii promieniowania są zgodni, iż niema między nimi a promieniami ziemnymi żadnego związku (np. niektóre choroby dzieci, jak dyfterja, dalej poparzenia, złamania kości na skutek nieszczęśliwych wypadków i t. p.). Okazało się, że i w tym wypadku zachodzi pewne nagromadzenie się ilościowe danych wypadków w pewnych miejscach, z pominięciem innych miejsc, nieraz w najbliższym sąsiedztwie leżących. Widzimy więc, że już same trudności metodyczne tych badań nad promieniami ziemnymi są olbrzymie — i w każdym razie należy się, przynajmniej chwilowo jeszcze, wystrzegać łatwych i efektywnych uogólnień.

Statystyki te — o ile ostaną się wobec krytyki — wskazywałyby pozatem jeszcze, że działanie owych promieni jest wyraźnie miejscowe, ściśle ograniczone do pewnych punktów terenowych. Dr med. Bloss podaje w swej książce „Magische Erdstrahlen“ następujący wypadek: Skonstatował on u jednej ze swych pacjentek bezwątpienia suchoty prawej nerki. Będąc sam różdźkarzem, w 4 tygodnie po rozpoczęciu leczenia, zbadał on zapomocą różdżki jej mieszkanie i znalazł w ogrodzie, obok paru pomniejszych, dwa bardzo silne prądy wody podskórnej. Już z planu wynikało, że krzyżowanie owych prądów wodnych musiało leżeć pod sypialnią pacjentki. Gdy badania swe



przeniósł na samo mieszkanie, przekonał się, iż łóżko stało wprawdzie nad jednym z owych prądów, lecz nie nad punktem skrzyżowania. To go zdziwiło, gdyż spodziewał się, iż łóżko będzie stało właśnie w tem drugim miejscu. W rozmowie okazało się wreszcie, iż łóżko stało aż doniedawna jeszcze po drugiej stronie pokoju, właśnie w miejscu krzyżowania się owych prądów, a dopiero przed 10 dniami zostało przesunięte. Przy bliższem zbadaniu tego miejsca okazało się, iż owe skrzyżowanie leżało właśnie po prawej stronie łóżka pacjentki, chorującej na suchoty właśnie prawej nerki. Działanie owych promieni byłoby więc w tem wypadku bardzo ściśle zlokalizowane. Dowód związku między owymi promieniami a chorobą upatruje się również w tem, iż jak twierdzą różdźkarze i osoby chore, po przestawieniu łóżka lub zmianie mieszkania następowała szybka poprawa lub całkowite wyleczenie.

Gdyby się okazało, iż teorie różdźkarzy są słuszne, tłumaczyłoby to w sposób oczywisty prastary „zabobon“ ludowy o t. zw. nieszczęśliwych lub też zaczarowanych domach. O takich szczególnie nieszczęśliwych domach mamy wiele, nieraz wprost niesamowitych relacji. Jeden z niemieckich różdźkarzy, Hans Schinner podaje w „Zeitschrift für Wünschelruten u. Pendelforschung“ następujące dane o takim miejscu: „W pewnej bawarskiej miejscowości górskiej znalazłem dom, który był jakby gniazdem raka i samobójstw. Różdźką stwierdziłem potężny prąd wody podziemny i na skutek sumiennych poszukiwań mogłem ustalić co następuje: w izbie na parterze: 4 wypadki śmierci na raka, 1 samobójstwo przez zastrzelenie, 2 porażenia. W izbie na 1 piętrze: 2 wypadki raka żołądka, 2 wypadki utraty wzroku, 2 wypadki zapalenia ucha środkowego, oraz 1 samobójstwo przez powieszenie. W komórce za domem: 6 samobójstw przez powieszenie.“ Także fakt, iż niektóre, w jednym miejscu osiadłe rodziny, są jakby szczególnie prześladowane przez choroby, nieraz poprzez szereg generacji, znalazłby w tym wypadku swoje wytłumaczenie.

Nadmienialiśmy już powyżej, że szczególnie skwapliwie podkreśla się rzekomy związek między chorobą raka a promieniowaniem ziemnym. Wspomniany już baron von Pohl, jako dowód istnienia takiego związku, podaje następujące dane („Zeitschr. f. Krebsforschung“, tom XXXI, czerwiec 1930): przeprowadził on w mieście Vilsbiburg w Dolnej Bawarii w styczniu 1929 r. następujący eksperyment: Całe miasteczko zbadał różdźką przy stałej asyście jednego z funkcjonariuszów policji tamtejszej. Na planie zaznaczył miejsca, w których — według niego — szczególnie silnie występują promieniowania ziemne. Równocześnie i — co najważniejsze — zupełnie niezależnie od jego badań, lekarz okręgowy zaznaczył na planie wszystkie domy, w których miały miejsce wypadki śmiertelne raka. Następnie porównano oba plany i okazało się, iż we wszystkich 54 wypadkach śmierci na raka łóżka odnośnych osób stały na linjach, wyznaczonych przez barona von Pohl i to w przeważających wypadkach nad skrzyżowaniami tych linii. Protokół tego eksperymentu, podpisany m. i. przez burmistrza J. Brandla i komisarza policji Fischera, przedrukował baron von Pohl w swej książce: „Erdstrahlen als Krankheitserreger“. W międzyczasie, od czerwca 1929 r. aż do sierpnia 1930 r., miało miejsce w mieście Vilsbiburg dalszych 10 wypadków raka. Mieszkania owych chorych porównano z planem barona von Pohl i okazało się, iż wszystkie owe miejsca znajdowały się nad wrysowanymi przez różdźkarza prądami wody podziemnej.

Pozatem przeprowadził baron von Pohl analogiczne badania także w innych miejscowościach. Ze strony lekarzy proponowano miasto, o nielicznych wypadkach śmierci na raka. Podano miasto Grafenau w Bawarii. Od roku 1914 aż do 1930 zanotowano tam tylko 16 wypadków śmiertelnych raka. I tu także okazało się, iż łóżka danych chorych znajdowały się stale w miejscach, podanych na planie przez barona von Pohl, jako szczególnie obfitych w promienie ziemne. Nic więc dziwnego, że po takich eksperymentach baron von Pohl w swej książce twierdzi stanowczo, że ten,

„kto dba o to, by łóżko jego nie stało w miejscach o silnym promieniowaniu ziemnym, a także w czasie pracy wystrzega się takich miejsc, ten nigdy nie zachoruje na raka“.

Przytoczymy też jeszcze podobny ciekawy eksperyment, przeprowadzony przez dra Beyera w mieście Szczecińcu, a opisanym przez niego w „Zeitschrift f. Wunschelrutenforschung“ (zeszyt 1—3 z roku 1932). Zestawił on tam wszystkie śmiertelne wypadki raka w tem mieście od roku 1910 do 1931, ogółem 5.348, a każdy dom, w którym wypadek taki miał miejsce, wyróżnił na specjalnym planie, na którym wszystkie domy miasta były wyrysowane. Zestawienie to wygląda następująco:

**Od roku 1910 do sierpnia 1930 r.**

Na 1575 parcelach	było	po 1	wypadku śmiertelnym raka.	—	Razem 1575
„ 750	„	2	wypadki śmiertelne	„	1500
„ 337	„	3	„	„	1011
„ 167	„	4	„	„	668
„ 51	„	5	„	„	255
„ 15	„	6	„	„	90
„ 6	„	7	„	„	42
„ 1	„	8	„	„	8
„ 1	„	9	„	„	9
„ 5	„	10 i więcej	„	„	190
Razem					5348

Już stąd widać, że np. w 5 domach miało miejsce aż 190 wypadków śmierci na raka, zaś ogółem istnieje 79 domów, w których było najmniej po 5 lub więcej wypadków. A więc pewne skupienie wypadków śmierci na danych obiektach istnieje bezsprzecznie, a ródźkarze mówią w tym wypadku o „domach“ lub „ulicach rakowych“. By sprawdzić, w jakim związku stoją owe wypadki z rzekomymi promieniami ziemnymi, zwrócił się dr Beyer do pewnego poważnego ródźkarza niemieckiego, który zbadał 23 ulic Szczecina. Okazało się, iż domy, w których notowano wypadki śmiertelne raka, stały bez wyjątku nad podziemnymi żyłami wodnymi, zaś owe t. zw. „domy rakowe“ (najmniej 5 wypadków śmierci), nad miejscami krzyżowania się owych żył.

Szczególnie ciekawe były jednakże badania nad domami fundacyjnymi (Stiftshäuser). Mieszkańcami tychże był bowiem jednolity materiał ludzki, t. j. starzy ludzie, łatwo podatni ewentualnym wpływom rakowym. Fundacja klasztoru św. Jana przy Elisabethstrasse okazała się silnie „napromieniona“, gdyż stoi na skrzyżowaniu żył wodnych. Notowano tu 28 wypadków śmiertelnych raka. W fundacji Kuhkergowskiej przy Pölltzerstrasse wydarzyły się tylko 2 wypadki. Jest ona tylko w 2 wąskich pasmach „napromieniona“, a dane łóżka stały dokładnie nad strefami działania promieni. Nicco

silniej „napromienioną“ jest fundacja Oskara. Notowano tu 4 wypadki. Zaś fundacja Senne-Stolle przez cały okres czasu, branego pod uwagę, nie wykazywała ani jednego wypadku raka. Według informacji różdżkarza, niema tu żadnego działania promieni. Dr Beyer zaznacza, iż danemu różdżkarzowi nie była oczywiście znana statystyka przez niego zestawiona.

Trzeba przyznać, że badania te i im podobne (a jest ich ogółem wielka ilość) — dają dużo do myślenia. Czy jednakże są one właściwymi dowodami na wytłumaczenie związku między rakiem a promieniami ziemnymi? Czy np. w naszym, wyżej podanym wypadku, ów różdżkarz nie mógł być doskonałym telepatą, dzięki czemu wychylenia jego różdżki zgadzały się w zupełności z daną statystyką dra Beyera, który znał owe „domy rakowe“ — i przy badaniach tych brał udział? Czy nie mogłoby tu w niektórych innych wypadkach np. zachodzić coś w rodzaju psychometrii, czyli czysto psychicznego „wyczuwania“ miejsc, w których nastąpiły wypadki śmiertelne raka? Czy praca różdżkarza nie jest więc tylko fenomenem czysto psychologicznym, bez fizycznego odpowiednika w promieniowaniu ziemskim? W każdym razie problem ten stanowczo nie jest tak prosty, za jaki uważają go bezwzględni zwolennicy teorii „promieni ziemskich“, zaś dotychczasowe nasze wiadomości z zakresu parapsychologii znacznie go komplikują.

Zresztą nie wszystkie eksperymenta są tak w 100% udane, jak wyżej opisane. Są one raczej wyjątkami. Podobne badania, jak barona v. Pohla, zorganizował również uniwersytet paryski. Lecz wyniki były znacznie słabsze. Niemniej można było ogółem stwierdzić, iż w Salpêtrière, dzielnicy Paryża o bardzo obfitym nawodnieniu podskórnym, miało miejsce w przeciągu 1 roku 2,8 wypadków śmiertelnych raka na 1.000 mieszkańców. W Quartier Gaillon zaś, gdzie stwierdzono bardzo mało żył wodnych, notowano tylko 0,324 wypadków na 1.000 mieszkańców.

Przytoczmy tu jeszcze bardzo typową notatkę niemieckiego lekarza dra Glucka w czasopiśmie „Lebensweiser“ VII, 1932 — rzucającą ciekawe światło na daleko sięgającą lokalizację działania promieni. Typową jest ona z tego względu, iż w odnośnej literaturze z nowszych czasów spotykamy najczęściej takie właśnie obserwacje jednostkowe, stwierdzające wybitnie miejscowe działania wąskich stref promieniujących, poczynione przez różdżkarzy, którym dane wypadki chorobowe zgóry już były znane, a którzy od swej różdżki spodziewali się w pierwszym rzędzie potwierdzenia teorii, w której słuszność byli przekonani. Dr Glück, będący sam różdżkarzem przekonany o realnym istnieniu „promieni ziemnych“ i ich chorobotwórczym działaniu, pisze tak:

„Oba łóżka pewnego małżeństwa stały naprzeciwko siebie i były przecięte wąską, lecz intensywną strefą promieni ziemnych w ten sposób, iż jedno z nich przecinała owa strefa u wezłowia, drugie zaś przez środek. Mąż chorował na raka przełyku, żona na raka podbrzusza, odpowiedni do owych stref opromienionych w ich łóżkach.“

Takie właśnie wybitnie lokalne, chciałoby się powiedzieć — podejrzenie lokalne działanie owych promieni i stuprocentowa ich zgodność z miejscowymi objawami chorobowymi, nasuwa jednakże szereg zastrzeżeń, tem bardziej, jeśli danemu różdżkarzowi owe wypadki chorobowe są zgóry już znane. W rezultacie bowiem wychylenia różdżki są następstwem nieznacznych skurczów mięśni, niezauważonych ruchów dłoni czy palców. Są one podświadome i — hipotetycznie — mogą one być „wyrazami pewnych, bliżej nam jeszcze

nieznanych sposobów niezmysłowego poznania (że taka forma poznania istnieje, to udowadniają nam niezbitnie niektóre bezsprzecznie realne obserwacje z zakresu metapsychologii, np. telepatja, jasnowidzenie i t. p.). Lecz równie dobrze mogą owe podświadome ruchy i skurcze mięśni wpływać tylko z naszej podświadomości, t. j. z tej sfery naszej psychiki, w której mają swe odrębne „bytowanie“ te nasze przeżycia (w najszerszym tego słowa znaczeniu), które w danej chwili znajdują się pod progiem naszej świadomości. Badania nad t. zw. stolikami wirującymi, cumberlandyzm i t. p. rzucają tu pewne światło. To też wszelkie badania nad radiestezją (różdżkarstwem), nad „wahadłem magicznym“ i różdżką, oraz nad promieniami ziemnymi będą wtedy dopiero miały wartość naukową, gdy się uwzględni dotychczasowe zdobycze metapsychologii. Większość jednakże odnośnych badaczy ujmuje problem ten jako fizyczny, a nie jako metapsychiczny, t. zn. psychologiczny.

Z chwilą przyjęcia realnego istnienia promieni ziemnych i ich złowrogiego wpływu na organizmy żyjące, powstaje oczywiście natychmiast nowy problem: jak chronić się przed tego rodzaju promieniami?

Otóż najlepszym środkiem będzie oczywiście zawsze omijanie miejsc napromienionych. To też zdaniem szerokiej rzeszy różdżkarzy, należy każdy teren pod przyszłą budowę przede wszystkim zbadać różdżką. W Niemczech istnieją już nawet towarzystwa budowlane, które z reguły każdy teren przeznaczony na budowę poddają „ogłędzinom“ różdżkarzy. Podobnie postępuje pewna budowlana kasa oszczędności w północnych Niemczech, która od szeregu już lat stale współpracuje z różdżkarzami. Także ustawienie łóżek, urządzenie sypialń i całego naszego mieszkania można oczywiście uzależnić od owych stref promieni ziemnych — jeśli jest się przekonany o ich realności.

Omijanie promieni tych jest oczywiście niezawsze możliwe. Trzeba w tym wypadku zastosować inne metody izolujące przed owymi promieniami, lub znoszące je. Różdżkarze nazywają to „odpromienianiem“. Istnieje już olbrzymia ilość różnych metod izolujących i aparatów odpromieniujących. Z chwilą zainteresowania się szerszych warstw promieniami ziemnymi, powstała wybitna konjunktura na tego rodzaju aparaty, tak że dziś w samych Niemczech istnieje już ponad 50 opatentowanych modeli. Można wśród nich przeprowadzić w przybliżeniu podział na 3 grupy:

- I) Środki izolujące lub odpromieniujące tylko człowieka lub łóżko.
- II) Aparaty izolujące.
- III) Aparaty neutralizujące szkodliwe promienie ziemne.

I. Grupa. — Przez pewien czas sądzono, że podkłady z gumy dla łóżek izolują je przed promieniami ziemnymi. Większych korzyści jednak nie osiągnięto i dziś już różdżkarze ten środek izolacji zaniechali, tem bardziej, że — jak twierdzą — podeszwy gumowe bynajmniej nie znoszą reakcji różdżki. — Polecano także miseczki izolacyjne ze szkła, lub tafelki szklane, podstawiane pod nogi łóżek. Lecz i ten środek podobno zawiódł pokładane w nim nadzieje. Lepszym materiałem izolacyjnym ma być wosk, lecz zastosowanie go jest dość trudne i niepraktyczne. Dalej należy wymienić różne łańcuszki, naszyjniki, bransolety, naramienniki, broszki, biżuterje, produkowane np. w Niemczech masowo i polecane z wielkim hałasem i krzykiem jako ochrona przed promieniami ziemnymi. Czyż nie upodobniamy się w tym wypadku do owych dzikich plemion murzyńskich, noszących na szyi, ramionach i nogach meta-

lowe pierścienie i łańcuszki dla ochrony przed złośliwymi demonami? — Jedynym rzekomo wartościowym i rzeczywiście chroniącym czynnikiem ma tu być metal, z którego „ozdoby“ owe są sporządzane. Według zdania bowiem odnośnych badaczy, niektóre metale rzeczywiście izolują przed promieniami ziemnymi.

Doskonałym „odpromieniowaczem“ i izolatorem ma być miedź. Róźdzkarze wskazują na to, iż w tym sensie używano jej już od bardzo dawna. Istnieje bowiem starodawny zwyczaj wśród chłopów, że przy reumatyzmie stawia się miskę miedzianą pod łóżkiem, lub wsuwa kawałek blachy miedzianej pod słomę, czy siennik. Inni znów wkładają do butów specjalne wkładki z cienkiej blachy miedzianej. Wspomniany już *L a k h o v s k y* osiągał wyzdrowienie lub conajmniej znaczną poprawę przy schorzałych roślinach, otaczając je spiralnie drutem miedzianym. W swej książce daje wyraz przypuszczeniu, iż promienie ziemne mają skłonność do zmiany kierunku, gdy natrafiają na dobre przewodniki elektryczne. Myśl tę podjęli inni róźdzkarze, „osłaniając“ np. łóżka zamkniętymi spiralami z drutu miedzianego. Najlepsze własności odpromieniujące posiada jednak srebro, które rzekomo najpewniej chroni od chorób i niweczy szkodliwe działanie sił promieniujących ze źródeł podziemnych. Zaleca się w tym celu noszenie łańcuszków srebrnych na ręce lub szyi, zaś łóżko można izolować w ten sposób, że w każdym jego rogu kładzie się srebrną monetę, lecz tak, by dotykały się drzewa lub żelaza.

Jako inne środki, poza metalami, wymienia się nieraz kwas mrówkowy. Dr med. *Blos* z Karlsruhe w Niemczech twierdzi, iż płótno, przesiąknięte kwasem mrówkowym, izoluje przed promieniowaniem ziemnym. Wychodzi on w tym wypadku ze założenia, iż mrowiska spotyka się stale nad skrzyżowaniami owych promieni, przyczem róźdzka nad mrowiskami nie daje żadnej reakcji. Co więcej, jest on nawet zdania, iż organizm ludzki przed promieniowaniem ziemnym może być chroniony przez doprowadzanie mu kwasów, np. soku cytrynowego, porzeczkowego i t. p.

II. G r u p a. Do niej zaliczyliśmy aparaty izolujące — w ściślejszem tego słowa znaczeniu — objekty większe. O aparatach tych trudno się czegoś dokładniejszego dowiedzieć. Są one poprostu tajemnicą zawodową odnośnych róźdzkarzy. Conajwyżej, spotyka się tu i ówdzie bardzo ogólne wzmianki, oraz podanie ogólnej zasady działania takiego aparatu. Pierwszy z owych aparatów izolujących i odpromieniujących pochodzi (według dra *Fr. Wetzel'a*, naukowego kierownika monachijskiego Instytutu dla badań nad róźdzką i wadhadłem w czasopiśmie „*Heilkunst der Gegenwart*“, Nr. 11 z roku 1932) od szwajcarskiego róźdzkarza *M e r m e t a*. Usiłował on przez umieszczenie kolców metalowych w ziemi ponad żyłami wodnymi zmieniać kierunek owych szkodliwych promieni. Najbardziej jednak znanym i rozpowszechnionym jest w Niemczech aparat konstrukcji księdza-benedyktyna *C. Wehrmeistera* z klasztoru św. Ottylii. Aparat ten składa się zasadniczo z kilkukomorowych cylindrów z różnych metali, napełnionych oleistą cieczą, oraz z grubego, miedzianego kabłąku, łączącego owe cylindry. Kabłąk ten służy jako kondensator (zbiornik) danych promieni, skierowuje je do cylindrów, gdzie owa ciecz oleista je centralizuje. Dla każdej żyły wodnej trzeba dwóch takich aparatów. Jeden z nich wkopuje, względnie wcementowuje się w miejsce „wejścia“ danej strefy patogenicznego promieniowania, drugi zaś tam, gdzie strefa owa opuszcza dany obiekt, mający zostać odpromienionym. Owe kabłąki mie-

dziane są przytem skierowane nazewnątrz danego obiektu. Jeśli wkopanie owych aparatów jest niemożliwe (np. w miastach), wmurowywuje się je w mury domu w piwnicy. Według danych samego ks. Wehrmeistera (z roku 1933), wmontowano jego aparatów w Niemczech już ponad 20.000 sztuk! — Istnieją również aparaty o znacznie prostszej budowie. I tak np. różdźkarz Wehrs z Bremy skonstruował aparat, który w zasadzie składa się z dwóch, specjalnie uformowanych płyt miedzianych, które — zależnie od wielkości — rzekomo „wsysają“ promienie ziemne na przestrzeni 80 metrów do 5 kilometrów (!?)

III. Grupa. Są to aparaty, których działanie jest nietylko izolujące, lecz które w pierwszym rzędzie mają za zadanie niszczenie promieniowań ziemnych. Jak podawały gazety, kazało podobno bawarskie Ministerstwo Sprawiedliwości wmontować w monachijski pałac sprawiedliwości kilka takich aparatów. Jak twierdzą różdźkarze, większość tego rodzaju aparatów ma niezbyt wielki zasięg działalności, około 20 do 25 metrów. Wystarczy to jednakże zupełnie, by chronić poszczególne domy przed owymi „demonami ziemi“.

Najbardziej znanym aparatem tej grupy jest „odpromieniacz“ (Flächen-entstrahler) barona von Pohl. Bliższe dane o nim można znaleźć w doskonałej, nieraz już wspomianej, pracy von Pohla: „Erdstrahlen als Krankheitserreger“.

Innym, typowym dla tej grupy, aparatem jest t. zw. „Phylax“, szeroko znany i rozpowszechniony w Niemczech. Zasada jego jest — na wzór aparatów radiowych — wychwytywanie promieni ziemnych przez odpowiednie cewki i kondensatory, oraz ich niszczenie przez prądy indukcyjne, przemieniające szkodliwe promienie ziemne na promienie ciepłne. Cechą charakterystyczną tego aparatu jest to, że „dostraja“ się go do danych promieniowań, — na wzór aparatów radiowych; wmontowuje się go wpoprzek danej żyły wodnej, w strefie jej promieniowania. Podobno działanie takiej żyły zostaje w ten sposób raz na zawsze zniesione, bez względu na to, na którym piętrze danego domu aparat ten wbudowano.

Także i u nas w Polsce zaczynają sprawy te i zagadnienia interesować szerszą publiczność. Nie brak u nas różdźkarzy, nie brak również konstruktorów aparatów „odpromieniowujących“. Jak łatwo zainteresować szeroki ogół tego rodzaju problemami, dowodem tego mogą np. być licznie odwiedzane odczyty jednego z naszych entuzjastycznych propagatorów, proboszcza z Małej Wisły na Górnym Śląsku- ks. Karola Hübnera, jakie od czasu do czasu wygłasza w różnych miastach Polski. W ostatnich czasach na Pomorzu i w Wielkopolsce szerzy się ruch odpromieniania majątków i domów. Wielce ciekawy jest pod tym względem list p. Bogdana Szembeka, przedrukowany w „Kurjerze Metapsychicznym“. (I. K. C. z dnia 3 VI 1936 r.) Czytamy tam:

„...W Polsce pracuje nad tem zagadnieniem (t. j. nad działaniem promieni ziemnych i ochroną przed niemi) inżynier Braunschmidt, dawniej zamieszkały we Wrześni, a obecnie w Gdańsku. ...Inż. Braunschmidt, nazywający się „biofizykiem“, skonstruował bardzo prosty przyrząd odpromieniający. Wyszukawszy najsilniejsze dostępne skrzyżowanie prądów zapięciem różdźki... ustawia na niem na trzech masztach rodzaj izolowanej sieci w formie pajęczyny. Sieć ta ładuje się sama odrazu elektrycznością o napięciu rzekomo do 8000 Volt. Zależnie od siły prądów ziemnych pod siecią, od umiejętności nastawienia i od wysokości, uzyskujemy elipsy. (Elipsa ta

ma np. w Szelejewie 13 km długości, w Modrzu — 9, a u mnie (t. j. u p. Szembeka w Wysocku Wielkim) — 4 km, na folwarku w Sadowiu 10 km).

Z odpromienionych już około 1,200.000 mórg magdeb. w przeszło 200, przeważnie niemieckich majątkach, nie miał p. Braunschmidt ani jednej wiadomości o szkodzie gradowej, ani o piorunie. Natomiast u sąsiadów szkody takie stają się częstsze!

Plony na przestrzeniach chronionych są rzekomo znacznie wyższe, inwentarz, a specjalnie trzoda, lepiej się chowa i silniej mnoży. Pszczoły tylko gorzej prosperują i wymagają specjalnych zabiegów, aby nie wyginęły. Tak samo mrówki giną. I ciekawa rzecz, że jad pszczoł i mrówek jest najsilniejszym antidotum na choroby, powstałe wskutek promieni“...

Artykuł niniejszy ma być jedynie informacyjnym. Na trudności, nasuwające się przy badaniach nad problemem „promieniowania ziemskiego“, tego, o którym mówią nam różdżkarze, wskazywano niejednokrotnie w ciągu niniejszego artykułu. Są to jednakże trudności metodyczne raczej, gdyż odpowiedź jednoznaczna i krótka „tak“ lub „nie“ na pytanie, czy promieniowanie takie rzeczywiście istnieje i czy ma ono swój wpływ na organizmy, — jest niemożliwa przy dzisiejszym stanie naszej wiedzy. Czy rzeczywiście, jak to twierdzą różdżkarze, promieniowanie takie czy inne mieści w sobie zagadkę życia i śmierci. Któż to potrafi rozstrzygnąć? Dlaczegożby wiedza, która w ostatnich czasach właśnie w dziedzinie promieniowania poczyniła tak doniosłe odkrycia, nie miała jutro może już rozszerzyć swojego zakresu badań na inne jeszcze promienie? Dziedzina ta jest dla nas ciągle jeszcze kraina, pełną tajemnic i niespodzianek. „Wszyscy obracamy się wśród tajemnic i cudów. Otacza nas atmosfera, o której nic jeszcze nie wiemy, co tam w niej się dzieje i w jakim ona związku stoi z naszym duchem.“ — Te słowa Goethego do Eckermanna są zawsze jeszcze aktualne. Bezwątpienia postępy wiedzy i nagromadzenie materiału sprawozdawczego niejedno w dotychczasowych naszych koncepcjach umysłowych przemieni, niejedno okaże się li tylko wybujałą fantazją — lecz fantazja ludzka bardzo rzadko tylko (o ile wogóle) tworzy cośkolwiek z niczego!

C. d. n.

## W łonie Kosmosu

### Napomknienie i przestrogi.

Z drugiej księgi belgradzkiego wydawnictwa „Okultyzm i Joga“ przełożyła Janina Kreczyńska.

Ludzie patrzą na śmierć codziennie, — ale nie myślą o czekającej każdego zmianie płaszczyzny istnienia...

Ludzie widzą gwiazdy-ogniska życia kosmicznego, ale nie uświadamiają sobie ich nieustannego oddziaływania wzajem na siebie i na Ziemię, nie czują ogromnej twórczej siły, obejmującej ze wszystkich stron naszą planetę, maleńkie ognisko tej samej kosmicznej twórczości.

O każdej sekundzie dnia wdychamy, wsysamy w siebie wszystkimi porami promienie słoneczne, każdej nocy przenikają nasz organizm promieniowania odległych gwiazd i mimo to ludzie nie wiedzą nic o bliskości i rzeczywistości nieustannych oddziaływań. W wyobrażeniu ich, Kosmos to takie coś, co ich nie dotyczy, to odległe punkty gwiazd, wijące po nocach nad ich głowami wieńce gwiazdozbiorów, którymi można się zachwycić w chwili poetycz-



nego nastroju. Nasi uczeni badają ruch, wymiary i widma dalekich gwiazd, lecz o żywych ich siłach nie wie nic skurczona, zmechanizowana świadomość. W półśnie bąkają astrologowie o wpływie planet, ale uwaga ich skupia się na oddzielnych horoskopach i syntetyczny obraz wielkiego magnetycznego pola Kosmosu niedostępny jest otumanionemu widzowi. I fale Kosmosu, opalające ze wszystkich stron Ziemię swem oddziaływaniem, dalekie są i obce ludzkiej świadomości. Jak ukarane dzieci, ludzie wcisnęli się nosem w ciemny kąt małych interesów swego krótkiego życia ziemskiego, w kąt osobistego ciasnego widnokągu, — i nie widzą, co dzieje się dokoła nich i tracą niezliczone możliwości rozwoju i wzrostu swej świadomości, twórczości, a zatem i szczęścia...

W łonie Kosmosu przebywa Ziemia ze swymi ślepymi mieszkańcami, w samem łonie jego nieskończenie różnorodnych energetycznych promieniowań i wzajemnych oddziaływań. Całe życie na Ziemi i na planetach naszego systemu, całe życie ze wszystkimi jego przejawami w wielorakich formach, których zespół nazywa się Przyrodą, — samo istnienie Ziemi i planet, wszystko, co dzieje się w zasięgu pola naszego systemu — warunkuje się Słońcem i całkowicie zależy od tej życiodawczej gwiazdy. Wielokształtność fizycznych form i energii w tak zwanych królestwach Przyrody, nieskończone wzory przeplatających się potoków psychicznego życia, zmieniające się wzajem ugrupowania myślowych emanacji, — cała ta wspaniała twórcza fantasmagoria przenikających się wzajem obrazów, uczuć, woli i myśli, — wszystko to jest wytworem barwnej przeróbki potoku słonecznego promieniowania, nieprzeliczonemi odbiciami życiodajnej energii wielkiej gwiazdy, nie bez słuszności ubóstwianej przez starożytność. Nie kulę roztopionej bezdusznej materji, lecz Ojca niezliczonych dzieci znajdujących się na różnych stopniach fizycznego, psychicznego i duchowego rozwoju, podziwiamy codziennie wskroś błękit naszej atmosfery. To jeden z syntetycznych pomników płomieniście natężonego życia, jakich mnóstwo jaśnieje w Kosmosie. I ludzka myśl, wiecznie poszukująca całkowitej syntezy, może skroś niego uchwycić promień Jedyne go Kosmicznego Ośrodka, który tak odnosi się do zespołu słońc, jak każde słońce do zespołu planet swego systemu.

To, czego jesteśmy świadomi, możemy spożytkować w daleko większym stopniu, niż to, co wymyka się naszej świadomości. Ludzie współcześni korzystają zaledwie z drobnej cząsteczki życiodajnego potoku słonecznego. Jakie możliwości pomnożenia swej fizycznej i nerwowej siły, swego zdrowia, młodości i długowieczności, płynące ze świadomego wykorzystania słonecznej energii, ludzie przeocząją wskutek niedbałstwa lekkomyślnej półnauki!

Nieustanna jest wymiana energii między Ziemią i jej siostrami-planetami. Jak między ludźmi, zjednoczonymi w grupę jednym dążeniem do wspólnego celu, wynika wspólność interesów i żywa intelektualna i psychiczna wymiana, to samo zachodzi i między planetami jednego systemu, zjednoczonymi jedną przyczyną i jednym celem, a życiodajnem ogniskiem Słońca. Ziemia jest odbiornikiem dla planet-nadawczyń i z kolei sama jest nadawcą. Nieustannie wypływają od naszych siostr-planet potoki intelekto-psycho-fizycznej energii, barwią na swój ton współbrzmiające na ziemi elementy. Ludzie nie wiedzą, że znajdują się ciągle pod takim potrójnem oddziaływaniem planet i że bezwiednie obcują z zamieszkującemi je istotami. Krzyżują się radiotelegamy w międzyplanetarnej przestrzeni i nieraz przychodzą nagle do głowy myśl okazuje się rezultatem czyjegoś myślowego procesu na Marsie czy Jowiszu.

Świetliste mosty zawsze są przerzucone od jednej planety do drugiej, ale trzeba je uświadomić sobie, żeby wykorzystać, a uświadomić, znaczy, przetworzyć w myśli, w uczuciu i w woli.

W orbity słonecznego systemu napływają ze wszystkich stron nieustannie zsyntetyzowane psychofizyczne fale energii z otaczających bratnich systemów. Potoki różnorodnych kosmicznych energii o rozmaitych wibracjach i amplitudach fali, ale zbyt subtelnych dla grubych ludzkich narządów, wdzierają się i przez ziemską atmosferę i odpowiednio zmieniają wibracje psycho-fizycznej energii Ziemi. Mosty energetyczne przerzucone są między wszystkimi systemami, a ich przesła dotykają i Ziemi. Niezliczone radjotelegramy, nieświadomie odbierane z Kosmosu przez ludzi, odbijają się w ich impulsach i postępkach bez żadnej kontroli...

Wszystkie te potoki energii wykorzystują ziemscy mieszkańcy zaledwie w drobnej części, — i nie mogą one być przerobione wyczerpująco dlatego, że nie są przetworzone w świadomej twórczej pracy myśli, uczucia i woli. Twórcze siły Kosmosu znajdują się w nieustannej ewolucji przetwarzania, to znaczy, zmieniają formy, przystosowane do otaczającego środowiska, — to dynamika Kosmosu. Ale niewykorzystane, nieprzetworzone energie tworzą statyczne „zaległości“, których wpływ staje się burzycielski, ponieważ jako nieprzystosowane do środowiska, nie harmonizują z niem. Wielkie jest nagromadzenie w ziemskiej energetycznej atmosferze niewykorzystanej, nieprzetworzonej psychofizycznej woli. I zaległości te działają burzycielsko i na jednostki i na masy i na samą planetę. Nieprzetworzone w psychice ludzkości, wywołują one żywiołowe psychiczne szaleństwa wojen, rewolucyj i kryzysów. Nieprzerobione i niezastosowane przez rozumną świadomość, energie te budzą na planecie trzęsienia ziemi, huragany, wybuchy. Bywają okresy, kiedy zaległości te zagrażają samemu istnieniu planety, — i taki okres nadchodzi teraz właśnie. Ci, którzy wiedzą, że Ziemia i ludzkość znajdują się na progu groźnych kataklizmów, różnymi sposobami ostrzegają ludzkość. Wywołuje to liczne wezwania, rozlegające się w ostatnich czasach, a nawołujące do podniesienia poziomu świadomości, do zmiany psychicznego nastawienia ludzkości, w sensie przejścia od małych osobistych interesów, do szerokich ideałów ogólnego Dobra. Tylko bowiem rozszerzona świadomość zdolna jest skierować twórczą pracę na opanowanie i spożytkowanie w imię Dobra wszechplanetarnego tych zaległości energii, dotąd nieznanym ludziom, a grożących wybuchem. Uczeń zrobiłby lepiej, gdyby zajęł się badaniem kosmicznych promieni i psychofizycznych wpływów, otrzymywanych przez planetę i jej mieszkańców, oraz wynalezieniem sposobów ich wykorzystania na ogólną twórczą pracę; — taka robota byłaby znacznie owocniejsza od wyliczania ciężaru gwiazd i problematycznych odległości między systemami.

Ziemia jest nietylko odbiorcą kosmicznych wpływów, ale i nadawcą. Wibracje, tworzone przez myśli, uczucia i działanie ludzi, nie pozostają w ziemskiej atmosferze, ale, syntetyzując się, płyną dalej do planet, wnosząc swój ton do wibracji systemu słonecznego, a przez niego — do Kosmosu. Jeśli przeciętna tych wibracji jest dysharmonijna, jeśli przeważają w niej tony gniewu, nienawiści, osobistych i zespołowych egoizmów, kłamstwa i zmysłowej materialności zwężonej psychiki, to, kierując się w przestrzeń, taka przeciętna zaraża i częściowo zmienia rytm w naszym systemie, a przez niego wprowadza i do Kosmosu falę bezładnie wibrujących energii. Pobudzone w ten

sposób w otoczeniu wibracje zdążają z dziesięciokrotną siłą na ziemię. Pobudzone wibracje tworzą się ze wszystkich stron i dlatego, naturalnie, są wielokrotnie silniejsze od początkowych, jak dźwięk, odbity od kopuły sklepienia. Te dysharmonijne wywołane wibracje pogłębiają psychiczny rozkład pierwiastkowych nadawców, wywołują rozstrój fizyczny organizmów przez wzrastające rodzaje zachorzeń, działają burzycielsko na magnetyczne prądy planety, grożąc znów geologicznymi katastrofami...

Gdyby ludzie otworzyli oczy na kosmiczne współdziaływania, to zrozumieliby i poczuli ogrom odpowiedzialności za swoje psychiczne przejawy i bez zabobonnego strachu przed karą zgóry. Ludzkość sama nagradza się i karze, bo zawsze otrzyma z kosmicznej skarbnicy zdziesięciokrotnione to, co do niej wysyła. Piekło czy raj ludzie mogą stworzyć ze swojej Ziemi, według tego, jakie wibracje potrafią wzbudzić w otaczającym Kosmosie.

Otwarte są przed ludźmi nieskończone możliwości twórczego rozwoju w łonie Kosmosu pod warunkiem świadomie rozumnego spożytkowania kosmicznych energii dla wszechplanetarnego Dobra.

Inaczej, zguba w temże kosmicznem łonie w razie uporczywego trwania przy duchowym, intelektualnym i moralnym obskurantyzmie...

Uczeni wiedzą, ile planet w światowej przestrzeni rozsypuje się w proch i idzie na stop, a za ich zgubę odpowiedzialni są ich mieszkańcy...

N. R.

## Po wielkiej drodze

*Po wielkiej drodze idziemy jak dzieci  
W swe „ja“ malutkie wiecznie zapatrzeni,  
Pod niebem jasnym wśród złotych promieni,  
Nie widząc słońca co nad nami świeci,  
Po wielkiej drodze idziemy jak dzieci.*

*Wszystko co drobne badamy dokoła:  
Ziarenka piasku, kwiaty i motyle,  
Cudów nad nami i w nas samych tyle,  
Lecz my uczenie pochylamy czoła,  
Wszystko co drobne badając dokoła.*

*Kim jesteś, powiedz, wędrowcze-człowieku,  
I dokąd idziesz po wielkiej tej drodze?  
W mroku zwątpienia i w tęsknot pożodze,  
Jak z mgłą na oczach tak dążysz od wieków,  
Lecz czy wiesz dokąd wędrowcze-człowieku?*

*Zbudź się i w bezmiar błękitów spójrz jasny,  
Z ziemi ku gwiazdom wyciągnij ramiona,  
Patrz tam kraina wieczna, nieskończona,  
Drugą, podobną masz w swej duszy własnej,  
Zbudź się człowieku, w szlak nieba spójrz jasny.*

*A ci co widzą już dalekie światy,  
Niech innych wiodą w promieniste zorze,  
Z miłością w sercu, a w ducha pokorze.  
Przez miraż życia w uludy bogaty,  
W prawdy idziemy nieskończone światy.*

*Halina Bronikowska-Smolarska.*

## Ciała zmartwychwstanie

Studjum psychofizyczne na tle dogmatu.

Ciąg dalszy.

A teraz rozpatrzmy, jak się przedstawia sprawa wytrzymałości na głód u innych, poza człowiekiem, organizmów.

Przy bliższych badaniach pokazuje się, że wytrzymałość ta jest olbrzymia i bynajmniej nie tak rzadko spotykana. Żaby i jaszczurki, zamurwane w kamieniu czy drzewie, lub zasklepione inaczej, skutkiem nagłych katklizmów natury, mogą jednak żyć dziesiątkami lat. Liczne muzea przyrodnicze przechowują kamienie i bryły, znalezione przy budowie lub rujnowaniu domów, przy rozkopach, w piwnicach i t. d. Kamienie owe mają dokładne odbicie kształtu danego stworzenia, które w niem przebywało, i wspomniane muzea posiadają nadto nieraz preparaty z niego zrobione lub jego szkielet.

Ostatnio w Paryżu robione naukowe doświadczenia na tle głodowania żab, doprowadziły do okresu dziesięcioletniego. Znana jest wytrzymałość głodujących płazów (węże). Zwykła pluskwa może trwać bez odżywienia i pozornie całkiem wyschnięta do kilku lat; odżywa znowu, nakarmiona. Żywe ryby po akwarjach u sprzedawców trwają do sześciu tygodni, przeważnie nie przyjmując pożywienia. Charakterystycznym jest, że większe ryby, schwymane do akwarjum w stanie nasycenia, wyrzucają połknięty żer. Wyzbycie się odżywiania w warunkach anormalnych jest, zdaje się, zdrowsze, niż odżywianie. Przy niesłychanie skomplikowanych chorobach wielu mistyków, latami głodujących, pokarm zapewneby przyspieszył tylko śmierć, podczas gdy abstynencja, dzięki współdziałaniu nieznanego nam psychodynamizmu, sprzyja podtrzymaniu życia — pod warunkiem jednakże tego współdziałania, gdyż przymusowa głódówka sprowadza rychłą śmierć.

Czy jednak, poza psychodynamizmem, nie mogą istnieć jakieś procesy odżywiania nieuchwytny dla oka niemniej jednak istotne i naturalne? I że one to wpływają w dużej mierze na podtrzymanie organizmu do zwykłych procesów odżywczych już niezdolnego?

Mamy dane sądzić, że tak właśnie jest. Nieprzyjmowanie pokarmów, jadanych łyżką i widelcem, zapomocą szczęk, albo odżywianie sztucznie wprowadzane do organizmu przez rurkę: nie zamyka jeszcze możliwości samego organizmu, tak samo jak oddychanie nie odbywa się jedynie zapomocą płuc. Znany fakt śmierci chłopca, wyłoczonego od stóp do głów na obraz złotego wieku w pochodzie symbolicznym, przypisano zasklepieniu skóry, która nie mogła oddychać. Otóż praktyka wykazuje, że skóra jest zdolna nie tylko chłonać powietrze poprzez swoje pory, ale i substancje dużo solidniejszej konsystencji. Daje się to sprawdzić w kosmetyce i medycynie: maście i płyny, bądź kosmetyczne bądź lecznicze, są absorbowane po krótkim czasie przez skórę całko-

wicie i w bynajmniej nie tak małych ilościach. Jeżeli przyjmujemy, że w niektórych stanach chorobowych osobnik może przyjmować pokarmy tylko drobno przetarte, a w cięższych wypadkach wyłącznie płyny, dojdziemy do wniosku, że w dalszej substytucji chory mógłby jeszcze przyjąć pokarmy (odżywki), doprowadzone do stanu rozpylenia, t. j. takiego, w jakim znajdują się substancje, rozpylone w powietrzu i podlegające dlatego nieświadomemu wchłanianiu przez oddech i przez skórę, tak, jak wchłaniamy na ulicy — kurz, a świadomie — jakiś szczególnie przyjemny zapach. Charakterystyczny przykład takiego odżywiania się zapachem można było obserwować w Warszawie przy jednej z restauracji na Placu Teatralnym, której kuchnię wentylowano zapomocą kraty w chodniku nad nią. Otóż przy tej kracie zawsze tkwiło kilku małych gazeciarczyków, którzy przybiegali, chciwie zaciągali się kilkakrotnie wonią potraw, i pędzili znowu do swoich posterunków. Twierdzili, że ten zapach jest nie tylko smaczny, ale że ich trochę syci. Przyjawszy, że jakaś część pokarmów stałych musi być zawarta w parze, z nich uchodzącej, lub rozpylona dzięki krajanii i t. p. — nie jest wykluczone, że głodownicy mają właściwość asymilowania sobie z powietrza cząstek nieuchwytnych dla oka, niemniej jednak — materialnych, z pokarmów, jakie znajdują się w otoczeniu chorego. Ciekawym z tego stanowiska byłoby doświadczenie z głodówką chorego w mieszkaniu izolowanym od wszelkich substancji spożywczych a w mieszkaniu zwykłym.

Fakt, że głodownicy nie tylko nie tracą na wadze, lecz czasem przybierają, może być oparty i na zasadzie łatwiejszej asymilacji przez organizm pokarmów atomizowanych. Miałoby to pewną wspólnotę z zasadą lecznictwa homeopatycznego, gdzie minimalność dawki przynosi maksimum korzyści.

Cytowany już dr Hynek w swojej książce o Konnersreuth, w której stoi na stanowisku nadnaturalnego charakteru zjawisk u Teresy z Konnersreuth, przytacza z pewnym oburzeniem kilka zdań innych badaczy, zaskakujących jednak niemniej na pewną uwagę — jeżeli nie w odniesieniu do tego mianowicie wypadku, to jako możliwość zasadniczą:

„...Usiłując wytłumaczyć niewytłumaczalną inaczej głodówkę Teresy — pisze — dr Kroener np. przypuszcza, że może tu zachodzić wypadek wampiryzacji niewidzialnej, dzięki której stygmatyczka wchłania pożywienie i siły z osób żyjących, ze swego otoczenia. Ale wyobrazić sobie, że czyni to samo z wodą, to już wkracza w dziedzinę baśni!“

Dlaczego mianowicie wchłanianie wody — która tak łatwo zamienia się w parę i skrapla w płyn zpowrotem — wydaje się autorowi tak właśnie mocnym argumentem, trudno zgadnąć. A oto przypuszczenie innego lekarza, które też jako rodzaj *curiosum* cytuję:

„...Wreszcie należy potępić także przypuszczenie dr Weissla, który zapewnia, że Teresa odżywia się zupełnie naturalnie, sama o tem nie wiedząc, w stanie somnambulizmu. To coś nowego, ale nauka nie może się opierać na takich nonsensach!“

Nonsensy te są jednak dużo mniejsze, niżby się wyznawcy nadnaturalizmu, dość naiwnie pojętego, mogło zdawać. Pewne formy wampiryzacji sił życiowych znane były od wieków w tradycjach ludzkości, zupełnie pomijawszy krwawe legendy o wampirach: na grun-

cie, by tak rzec, czysto higienicznym; np. otaczanie się starych ludzi młodziem. Na tem tle istnieją liczne przykłady, dotyczące zwłaszcza władców, którzy w ten sposób podtrzymywali młodość. Zwłaszcza ważnem było sypianie w tym samym pokoju, gdyż podczas snu tajemnicza transmutacja odbywała się łatwiej. Te same zasady niewidzialnego wampiryzmu uprawiały piękne damy przeszłości, okładając się np. cieleniną; cieleninę zdejmowano rano nienaruszoną, jednakże w jakiś sposób składniki jej przenikały do organizmu. Promieniowanie zdrowia i choroby nierównie dalej sięga, niż samo ciało, i ma przenikliwość, dzięki której może oddziaływać sposobami nazewnętrz nieuchwytnymi. Wreszcie znanym jest powszechnie fakt istnienia ludzi, specjalnie jakgdyby chłonnych, w obcowaniu z którymi czujemy się niewytłumaczalnie wyczerpani. Pedagogja amerykańska zwraca dużo uwagi na wampiryzm naturalny każdej starości czy choroby wobec każdego zdrowia czy młodości, i przestrzega wnikliwie przed sypianiem starych miasteczek, babek i t. d. przy dzieciach, zwłaszcza, jeżeli cierpią na jakąś chroniczną chorobę. A już zupełnie zdecydowanie w stanach somnambulicznych — o których z oburzeniem wspomina dr Hynek — istnieje tendencja do zaspokojenia pragnień, nawet najbardziej na jawie utajonych, tak dalece, że owe niewyzwolone tendencje kształtują się niejednokrotnie w odrębną osobowość, którą samo medjum bierze za istotę niezależną od siebie. Wielokrotnie sprawdzonym był fakt, że np. medjum, któremu się każe zapalić na odległość światło lub przenieść przedmiot, wyciąga istotnie rękę w tym kierunku (co nieraz brano za symulację prawdziwych objawów telekinetyki). Niemniej, te prawdziwe objawy także następują: z ramienia medjum wyciąga się pasmo nakształt innej ręki fluidalnej, która żądanej rzeczy dokonuje naprawdę. I nadzwyczaj przekonujące na tezę, że głodownicy w pewnych wypadkach mogą odżywiać się w stanach bezwiednych, byłoby mimochodem zaznaczone zdarzenie tejże Katarzyny Emmerich, kiedy, mówiąc o rozdwojeniu osobowości, powiada, że jedna z sióstr zakonnice widziała ją w spiżarni, pochyloną nad słojem z jadem, podczas gdy Katarzyna leżała uspijona u siebie w celi. Otóż Katarzyna Emmerich, zarówno jak Teresa, z którą ma dużo analogji, głodowała długimi latami, i nie tylko dlatego, żeby się umartwiać, ale że nie mogła fizycznie żadnych pokarmów przyjmować. Niemniej widocznie naturalna potrzeba głodu zmuszała ją we śnie do poszukiwania tego jada i jej ciało fluidalne grawitowało niejako do miejsc, gdzie je znaleźć mogła. Nie wiemy oczywiście, czy i jaki proces nasycenia może się w tym stanie odbywać; jednak jest bardziej, niż prawdopodobne, że jakiś rodzaj wchłaniania pożywek przez organizm drogą inną niż normalnie istnieć może, i zapewne — istnieje.

Brak powietrza i wytrzymałość na to wykazują nieomal wyłącznie świadome doświadczenia ascezy wschodniej, dla Europejczyka obce i jako zasada, i jako metodyka. Uczni Wschodu znają od wieków istotne prawa, rządzące oddechem, jako łącznikiem człowieka ze zbiornikiem kosmicznych sił. Zachodowi znane są tylko powierzchowne fenomeny, produkowane na tem tle przez fakirów, owiane posmakiem cudowności z jednej strony, a oszustwa czy w najlepszym razie — omamienia z drugiej. Jednakże, w miarę zbliżenia się Zachodu i Wschodu, zwłaszcza na terenach kolonialnych i anglo-

indyjskich, estradowy koloryt tych produkcji coraz bardziej ustępuje miejsca badaniom naukowców i protokołom urzędników miejscowych, które dają materiał do badań i badania te niejako prowokują w imię samego porządku administracyjnego. Przy sposobności ukrócenia barbarzyńskich obrzędów, towarzyszącym świętu bogini Kali w Indjach, władze brytyjskie zetknęły się z całym szeregiem ciekawych i niewytłumaczalnych narazie objawów miejscowego czarnoksięstwa. Cały szereg podobnych dochodzeń posiada za sobą rząd francuski na terenie kolonii afrykańskich. Będzie o tem dalej.

Z tego też stanowiska badacze ostatnio zajęli się fenomenem t. zw. sztucznej śmierci, produkowanej nieraz przez fakirów, a wiążącej się z jedynym bodaj przykładem wytrzymałości organizmu na brak powietrza. Badania te doprowadziły, dzięki obserwacjom, do wspólnych wniosków jak następuje:

Cudowność tych produkcji jest tylko pozorna, gdyż wymagają one ze strony osobnika szeregu długoletnich ćwiczeń i pewnych przygotowań doraźnych.

Mają one na celu stopniowe uszczuplanie sobie odżywiania i powietrza zapomocą skomplikowanego treningu, stosowanego w jodze. W momencie eksperymentu, polegającego na t. zw. pogrzebaniu żywcem, uczniowie (pomocnicy) fakira dokonywują szeregu czynności, zmierzających do zatrzymania procesów życiowych osobnika przez wprowadzenie go w stan katepsji, graniczącej ze śmiercią.

Zwłaszcza przerywają jego łączność właśnie z powietrzem, zasklepiając woskiem wszystkie otwory ciała eksperymentatora i jego przełyk.

Zabezpieczają trumnę z ciałem przed możliwością jakiegokolwiek uszkodzenia mechanicznego zzewnątrz (woda, ogień i t. d.).

Praktyka wykazała, że zaniedbanie którejkolwiek z tych czynności ochronnych sprowadza katastrofę, kończącą się śmiercią eksperymentatora. Próba może rzekomo sięgać dwu miesięcy. (Oczywiście pokazy fakirów estradowych ograniczają się do kilkunastu minut.) Wielkie poruszenie wywołał w sferach zainteresowanych fakt śmierci fakira, w ten sposób pogrzebanego, którego znaleziono, po odkopaniu w terminie, zjedzonego w trumnie przez mrówki. Dochodzenie ustaliło, że wrzucił mu kilka tych owadów przez zemstę konkurent, który pragnął go w ten sposób unieszkodliwić.

Dla Europejczyka momentem wstrząsającym jest niezwykła szybkość powrotu do życia ciała, które ma wszelkie pozory śmierci. Uczniowie nacierają je szybkimi i ściśle określonymi ruchami dla wzbudzenia krążenia krwi, odpieczętowują wosk zasklepiający nozdrza, odwracają zwinęty wewnątrz do przełyku język i masują — przy rytualnych inkantacjach, chórem wypowiedzianych przez ten czas. Po najkrótszej chwili fakir otwiera oczy i za godzinę może, wspólnie ze świadkami doświadczenia, udać się na posiłek.

Szergi protokołów i opisów tego eksperymentu mają przebieg mniej więcej zgodny.

Brak snu występuje w medycynie jako specjalna choroba, powstała na tle porażenia ośrodków nerwowych i jak do dziś nie posiada jeszcze ściśle sprecyzowanych środków leczenia. Jest też jednym z najtrudniej przetrzy-

mywanych przez organizm objawów chorobowych. W trakcie opracowywania tego studjum, obiegł dwukrotnie prasę anglo-indyjską rozpaczliwy apel, przedrukowany i przez nasze dzienniki (Wieczór Warszawski, kwiecień 1936), jednego z magnatów Wschodu, który od dwu miesięcy nie mogąc spać, ogłaszał, że daje wszelką cenę za uleczenie go z tej strasznej dolegliwości, gdyż następnego miesiąca już nie przetrzyma.

Cierpienie powodowane bezsennością, a jeszcze bardziej — sztucznie m przerywaniem snu, znane były oddawna wśród środków tortury i uchodziły za najokrutniejszą. Z wierzęta sztucznie pozbawiane snu, giną w terminie kilkudniowym.

Inaczej się nieco przedstawia sprawa, jeżeli brak snu jest stosowany przez osobnika dobrowolnie, jako środek o pewnej określonej celowości, kiedy psychika tem samem współdziałała z jego nastawieniem. Zdarza się to, kiedy osobnik chce i musi czuwać dla uratowania np. życia sobie lub komuś, w celach naukowego sprawdzianu i t. p. Rekordzistą tego typu doświadczeń ma być prof. Fischer z uniwersytetu Chicagowskiego, który zdołał uchylić się z pod władzy snu na przeciąg 135 godzin. Przez ten czas pędził tryb życia normalny, pisząc, czytając, prowadząc dziennik wrażeń w tym czasie doświadczanych i pozostając pod kontrolą lekarską kolegów-profesorów. Po tym terminie nagle zapadł w sen, który trwał kilka dni bez przerwy, uprzednio straciwszy przytomność. Na zdrowiu nie poniósł szkody.

Jeszcze wyższy stopień przeciwstawienia się potrzebie snu spotykamy w ascezie, przy dobrowolnych umartwieniach osobnika, który w ten sposób zdąża ku osiągnięciu celów mistycznych. Wówczas uszczuplenie snu idzie zwykle po pierwsze — drogą stopniową, po drugie zaś — łącznie z innymi ćwiczeniami, uszczuplającemi dosyć ciała, jak posty, głodówki i t. d. W tej odmianie brak snu nie zdaje się szkodzić specjalnie organizmowi i wkracza już nieraz w dziedzinę zjawisk, graniczących z cudownością.

Pod tym względem najobszerniejsze dane posiada obok medycyny, która nieraz te rzeczy obserwowała (dr. Imbert-Courbeyre), hagiografia (mgr. Farges). Czytamy np., że Katarzyna Sienneńska sypiała pół godziny na dwa dni; św. Krystyna — godzinę na ośm dni, przyczem rok życia spędziła wogóle bez snu; Katarzyna Ricci nie sypiała przez ośm ostatnich lat życia; sen sławnej cierpiętniczki, Ludwiny z Schiedam, obliczają naokoło trzech godzin w ciągu całego jej trzydziestoletniego cierpiętnictwa; i szereg innych, do obecnie żyjącej Teresy Neumann z Könnersreuth włącznie. Przyjąwszy, że w ścisłość tych danych wkradają się z konieczności pewne pomyłki, jeszcze osiągniemy zjawisko niewątpliwie przekraczające wszelkie możliwości, znane przy chorobowym braku snu, który po pierwsze — szkodzi niezmiernie zdrowiu i stanowi nerwowemu podległych osobników, po drugie zaś — nie osiąga nawet w przybliżeniu takich czasokresów.

Jeżeli idzie o potrzebę snu, jest ona powszechną dla całego świata zwierzęcego, jakkolwiek zaznacza się wielkimi odchyleniami. Wiemy jak niedużo i czujnie sypia koń, pies i t. d. Przysłowiowe jest sypianie „na jedno oko” zająca. Najmniej snu potrzebuje w świecie zwierzęcym morska świnka.

Jeżeliby szło o przyczyny, które mogą wpływać na brak snu u mistyków, bez straty zdrowia lub uszczerbku nerwowego, to może



należałoby uwzględnić powszechne u mistyków stany kontemplacyjne, które pod pewnymi względami mogą być uważane za namiastkę snu. Ekstaza, zachwycenie, kontemplacja i medytacja są stanami, które powodują częstokroć całkowite zatracenie świadomości i zerwanie kontaktu z rzeczywistością, która cechuje również i stany snu. Możliwe więc, że organizm, zarówno w jednym jak w drugim wypadku, wyzyskuje ten czas na restytucję utraconej energii i tem samym potrzeba zwykłego snu bądź redukuje się do minimum, bądź — zatracą się całkowicie.

W stanach mistycznych brak snu idzie, jak wspomnieliśmy, bardzo często w parze ze sztucznymi stanami snu, co ma miejsce także i w stanach medjalnych. Charakterystycznymi cechami dla sztucznego snu, przechodzącego zwykle przez stadium katalapsji (zesztywnienia członków) w jednym i drugim wypadku, jest w przeciwieństwie do zwykłego snu wzmocniona i logicznie kojarzona działalność wyobraźni i mózgu, przenoszącego odebrane wrażenia w późniejsze stany jawy (objawienia i rewelacje).

„...„Znieczulenie i trupią sztywność przy ekstazie, łączące się ściśle ze stanem mózgowia, można uważać za wynik pewnej nowej dynamiki, kierującej mózgiem“ — mówi znakomity badacz stanów somnambulicznych prof. Max Simon. Oto, dla przykładu, przebieg wybuchu, by tak rzec, stanów ekstatycznych u niejakiego Jana Engelbrechta, który pozostawał pod ścisłą obserwacją lekarską i, jako człowiek inteligentny, zdołał przytem dać analitycznie ujęty opis swoich przeżyć. (Max Simon: Świat Snów, tłum. Potockiego, Warszawa.)

„...„W czwartek w południe poczułem, że zbliża się śmierć i że posuwa się ona od kończyn dolnych ku górnym. Ciało moje stało się sztywne i utraciłem czucie w rękach, nogach i innych członkach. Nie mogłem mówić, ani widzieć: usta moje były sparaliżowane. Słyszałem jednak wyraźnie, jak obecni mówili: Dotknijcie jego nóg, jakie zimne i sztywne! Zaraz skona!... — Nie czułem jednak dotknąć: a z kolei zagaśł i słuch. Wówczas z szybkością strzały, uniesionej w przestrzeń, porwany zostałem w powietrze.“

W stanie tego wyzwolenia, które, nawiasem, jest doskonałą ilustracją do teorii wyłonienia ciała eterycznego, lansowaną przez płk. de Rochas na wyjaśnienie zjawisk bezwrażliwości (nast. rozdział) — w stanie tym ów ekstatak został przeniesiony do bram piekła, gdzie widział męki grzeszników, do nieba, gdzie obcuje z aniołami, w kształcie płomieni, i duszami — w kształcie świetlistych iskier — oraz z istotami boskimi. Ma on całkowitą świadomość przeżywanych wrażeń i logiczne skojarzenia. Poczem powoli wraca do ciała:

„...„Uczułem, że ciało moje zaczyna ożywać, począwszy od głowy ku nogom i zacząłem słyszeć zanoszone za mnie w pokoju modły. Za słuchem poszedł wzrok. Siły mi powróciły, i uczułem się tak mocny jak nigdy, tak dalece pokrzepiła mnie niebiańska radość. Ludzie niezmiernie się dziwili, że tak prędko przyszedłem do siebie.“

Od tego czasu — dodaje lekarz, za którym cytuje to Simon — ekstazy następowały już bez żadnych poprzedzających wstrząsów, ani letargu. Po ośm, dwa naście i dwadzieścia jeden dni nie jadał i nie pił. W pewnym okresie przez dziesięć miesięcy nie zmrudył

o k a. (Dr Arnold: Obserwacje stanów nienormalnych.) Tak stwierdza bezstronna kliniczna obserwacja lekarska.

Identyczne zjawiska spostrzec się dają przy stanach medialnych samorzutnych i pod hipnozą. Medjum, po przejściu przez stan katalepsji, przebywa w innych światach, przeżywa zdarzenia, wykonywa zlecenia i t. d., o których bądź zachowuje pamięć po przebudzeniu, bądź pod wpływem nakazu hipnotyzera zapomina widziane. Jednak odpowiedzi, udzielane w czasie transu, zawsze stwierdzają bogate i odrębne działanie mózgu i wyobraźni, połączone z hipertrofią wrażliwości. Protokoły medjumiczne są pełne przykładów na tem tle.

Zjawiskiem przeciwnym do braku snu, a zarazem niejako uwieńczeniem stanów snu sztucznego, o jakich wspominaliśmy, jest letarg, który omówimy jednak w dziale bezwrażliwości organizmu, gdyż z nią się ściśle łączy.

Marja Florkowa (Kraków)

Z cyklu „Tajemnice kamieni szlachetnych“

## Opal

Chemicznie: nieodwodniony kwas krzemowy ( $\text{SiO}_2$ ). Zawsze bezpostaciowy. Twardość 5,6—6,5. Bywa bezbarwny lub też rozmaicie zabarwiony. Przeźroczysty, przeświecający lub nieprzeźroczysty o połysku szklistym lub tłustym. Zawartość wody znaczna, wynosi od 2—13%. Opal szlachetny mieni się slicznymi barwami i dlatego należy do cennych, drogich kamieni. Występuje w trachitach koło Koszyc, na Węgrzech, jednak najpiękniejsze okazy pochodzą z Australji (Quensland), Honduras, Płn. Ameryki, Meksyku i Japonji.

Dzięki swej tajemniczości posiada opal, podobnie jak ludzie o wybitnym intelektualizmie, tyleż gorących przyjaciół, co i zdecydowanych wrogów. Nie jest to kamień „obojętny“: albo zachwyca i pociąga nieprzeparcie, albo przeraża i odtrąca. Ewers porównał go do trucizny, mówiąc, że opal tem jest pośród szlachetnych kamieni, czem opium pośród trucizn...

Istotnie tkwi w tym kamieniu czar niesamowity i groźny. Grają w nim wszystkie barwy, ale jakże rychło pierzchają, okrywając się welonem tajemnicy. Jeden ruch ręką, jedno drgnięcie kamienia i cała tęcza barw staje się złudną fatą morgana! Oczy, spragnione piękna, opierają się na bladej, nieprzeźroczystej ścianie, a nieukojoną tęsknota woła o nowy cud barw. I cud się zjawia, — aby po chwili zniknąć ponownie...

I może dlatego opal nazwano kamieniem złudzeń, klejnotem budzącym nierealne, bezpłodne marzenia, uczyniono go dawcą iluzyj, które, jak błędne ogniki, zjawiają się na arenie życia, by zwieść swym czarem i pogrążyć w topieli mętnej i koszmarnej rzeczywistości.

Ale jest on także kamieniem mistyków, talizmanem jasnowidzów, którym otwiera zaczarowane krainy nieznanego, czyniąc ich oczy otwartymi na wielkie i niezgłębione tajemnice „jutra“.

Można powiedzieć, że opal zbliża i zamyka w sobie dwa odrębne światy: świat rzeczy uchwytnych i nieuchwytnych, życia nawskroś materjal-

nego, z duchowem, pełnem niedopowiedzeń, niezrozumień, a bogatem w przecucia, w wizje, w sny i natchnienia.

Przypatrzmy się bliżej temu najdziwniejszemu z pośród klejnotów. Zimna, blada jasność, jakby jasność śmierci prześwieśla kamień, czyniąc go podobnym do nocy księżycowej. Drzemie w nim jakiś świat nocny, uśpiony, znieruchomiał i martwy, jak piękna twarz zmarłej kobiety. Drzemie w nim najdziwniejsza tajemnica, która przeraża, i rzuca urok pełen gorzkiej rozkoszy. Patrząc w uludny czar opalu, czujemy się porwani w jakiś świat cieni, spokrewnionych ze światem umarłych. Zanurzamy się w krainę spokoju i snu... Jak po zażyciu trucizny, odchodzimy powoli poza szeroko rozwarte bramy życia. Ale trucizna nie zabija, lecz oszalała i przestawia zwrotnicę: zamiast ku światłu słońca, odchodzimy w ponury cień srebrolicej bogini nocy... Już teraz nie wiemy, czy uśmiecha się do nas *Artemis*, *Djana*, *Proserpina*, czy może dostojna *Izisz* uchyla zasłony, lub groźna *Istar* wzywa do siebie? W blasku, z świata umarłych zapożyczonym, powstają z grobów ci, którzy dawno odeszli, a po promieniach gwiazd duchy spływają na ziemię i złe, ukryte moce, w postaci krwawych upiórów snują się pośród strzaskanych krzyżów mogiłnych...

Ogarnia nas groza. Zimny, płonący księżycowem światłem opal — daleko odsuwamy od siebie. Tak jest lepiej, tak jest ciszej, spokojniej, bo już nic nie mąci naszego ludzkiego spokoju, naszej przeciętnej pogody ducha, naszego przyziemnego zadowolenia, że życie płynie gładko i bezpiecznie, jakkolwiek tam gdzieś dalej, poza granicą — ciasno opasującą nasze własne życie, szumi szeroka, silna i mętna fala cierpienia i niepokoju...

Opal sprowadza na ziemię wibracje Genjuszów planetarnych, którzy uczyć nas mają Miłości, nie tej egoistycznej, lecz czystej, wielkiej i obejmującej całą ludzkość... Tajemniczy Neptun i wielki strażnik kosmiczny Saturn — poprzez opal nawołują do wyższego życia, życia poświęceń i trudów.

I zapewne dlatego dary, które opal przynosi z sobą — są tak dziwnej natury, że bardzo niewielu ludzi ośmieli się ją nazwać uśmiechem losu!... I zapewne dlatego także zwie się on w terminologii przeciętnych ludzi „klejnotem nieszczęścia“.

Ileż bowiem razy — jak pięknie powiedział Maeterlinck — „kładziemy na jednej szali nieszczęście, tyleżkroć kładzie każdy z nas na drugiej tylko wyobrażenie o szczęściu. Dziki położy wódkę, proch i pióra, człowiek cywilizowany trochę złota i kilka dni upojenia, ale mędrzec położy tysiące rzeczy, jakich my nie widzimy, może nawet całą swoją duszę i to nieszczęście, które go oczyściło!“

Nieszczęścia, cierpienia i zawody to tylko nazwy dla rzeczy niepodobnych w swej istocie do siebie. Gdybyśmy doszli do ukrytych źródeł, które zapoczątkowały owe przykre dla nas zjawiska, gdybyśmy umieli obiektywnie wniknąć aż na dno duszy tych pojęć, poznalibyśmy, że nazywamy nimi tylko ślady naszych własnych błędów i własnych przeoczeń.

Żadna gwiazda, żadna planeta nie wysyła ku nam złych, niszczycielskich prądów, to tylko my, nasza małość i nasza nieświadomość duchowa załamuje się w natarciu potężnych sił, które przenikają nas bezustannie. Gwiazdy są naszymi nauczycielami, a wobec nauczycieli lęk uczuwają tylko zapóźnieni uczniowie. Dla nich ci, którzy prowadzą wychowanków naprzd

— mogą wydawać się „złymi“ wówczas, gdy sprawiedliwie osądzają ich lichy postępek, gdy zmuszają leniwych i opornych do posunięcia się na drodze... Dla ludzi duchowo wysoko rozwiniętych geniusze planetarni Saturna, Urana, czy Neptuna, określane przez oficjalną astrologję jako „demoniczni“, są największymi przyjaciółmi... Bezspornie istnieją fazy „trudnych egzaminów“ dla ludzkości, ale przede wszystkim wówczas nasi kosmiczni nauczyciele czuwają, abyśmy z tych dni „bezprawia i zamętu“ wynieśli jak największą korzyść. Nauczmy się patrzeć na wszystko, jako na wysiłki podźwignięcia nas ku górze... „Wszystko, co nas otacza, przemienia się i ukazuje nam jako „anioł“ lub „djabł“, odpowiednio do stanu naszego serca. Joanna d'Arc słyszy głosy aniołów, zaś lady Macbeth czarownic, mimo, że są to głosy te same!“ Święty Franciszek z Assyżu tyle płomiennej miłości miał w sobie, że wszędzie widział tylko „braci i siostry“, wszystkiemu błogosławił i wszystko kochał. Dlatego nawet groźne wilczyisko, siejące dotąd śmierć na ulicach miasta, przyczołgało się potulnie do jego stóp i przemienione w łagodnego baranka, szło za nim wszędzie, aby pozostać już na zawsze przyjacielem człowieka!

Gdybyśmy zrozumieli najcudowniejszą alchemję miłości, znikłyby wojny, bezrobocie i wszelki ucisk, budowany na nienawiści i egoizmie. Sami jesteśmy twórcami naszego losu, sami — własną zawiścią i czynami zemsty odrzuciliśmy się od Boga, a oskarżamy o to „złe siły“ i demonów, z którymi walczy nasza chora wyobraźnia, ale nauczmy się kochać, nauczmy się błogosławić wszystkim i wszystko, a pod jasnymi promieniami przebóstwionego serca osty zatracą swoje kolce, a żarłoczne i drapieżne instynkta przemienią się w życiodajne źródło natchnienia, jak stworzyć i wyczarować nową erę powszechnego szczęścia i dobrobytu.

Opal winien być naszym nauczycielem. W sposób cudowny, a przecież przedziwnie prosty ujarzmi on światło i małą, białą grudkę kwasu krzemowego zamienia w tajemniczą świątynię czegoś boskiego i niewyraźalnie pięknego... Czyż nasze serce niezdolne byłoby uczynić to samo? Zamknąć w sobie światło i pozostać promienną lampą pośród ciemności?...

Być jak opal lekarzem chorych oczu, iżby widziały zawsze jasno i nieomylnie, jaka droga wiedzie do jedyne go celu, którym jest rozwój duchowy człowieka! Bo opal leczy wzrok i zachowuje jego siłę w długie — długie lata! Zasila nie tylko ten wzrok fizyczny, ale uczy patrzeć poprzez znikome formy przemijających zjawisk na dalsze prawdy i dalsze cele.

I jest jak słońce miłosierne: zlewa swoje ciepło i jasność na wszelkie kiełkujące życie. I czyż dlatego możemy go oskarżać, że pozwala bujnie wyrastać chwastom, obok leczących roślin? Że noszony przez ludzi o perwersyjnych skłonnościach, potęguje w nich owe zboczenia — — ? Opal zasila wewnętrzny nurt życia przedziwną siłą i intensywnością. Dobrych czyni świętymi, a u złych wyzwala ich ukryte, często zamaskowane skłonności.

Ludzie, którzy w swym horoskopie mają „złe oświetlonego“ Marsa, Saturna lub Urana, powinni jak najdalej odrzucić opal. Niewinny ten kamień odda im podobną usługę, jak płonąca zapalka niewidomemu, gdy znajdzie się w miejscu pełnym suchych snopów...

Tak samo lunatycy odniosą przykre skutki wpływu tego klejnotu...

Natomiast kobiety, spodziewające się rozwiązania, znajdują w opalu przyjaciela, który zasiliał ich będzie w cierpieniu i da im piękne i zdrowe dzieci.

Jest to najwięcej tajemniczy i najbardziej mistyczny kamień. Symbol cierpienia, które jest oczyszczeniem, jasnowidzenia, ukazującego ukryte siły, rządzące tak poszczególnym człowiekiem, jak i całym Kosmosem! Kamień wtajemniczonych i adeptów, którzy ziścili w sobie słowa Nauczyciela: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.“

Są oni, jak dusza opalu, która zamknęła w sobie tajemnicę wypromieniowania tęczy, osłaniającej świat obietnicą Pokoju...

I słuszną jest rzeczą, że jeżeli cudny ten kamień nosić będzie ręka materialisty, który wszędzie szuka tylko własnego zysku i własnej rozkoszy, przyczyni mu on tylko zawodów i cierpień!

Opal uczy służenia drugim, oddawania bliźnim swoich wewnętrznych wartości, tak ofiarnie, jak słońce oddaje swój blask i swoje ciepło. Nie jest to klejnot władców, lecz służebników ludzkości.

I dynastje panujące miały do opali wyraźną i zdecydowaną niechęć. Na dworze carów rosyjskich noszenie opali było wzbronione; król angielski Edward VII tak bardzo wyczuwał dysharmonijne działanie wibracyjne tych klejnotów, że sam ich widok sprawiał mu dużą przykrość. Gdy odbywały się dworskie przyjęcia i uroczystości, jeden z urzędników miał tylko jeden obowiązek: uprzedzać musiał obcych gości, niezających zwyczajów dworu, że wejście na królewskie salony w opalach — jest poprostu wzbronione.

Natomiast Hindusi widzą w opalu największy amulet szczęścia. Ich mentalność, tak różna od naszej, słusnie upatruje w tym klejnocie niezawodnego przewodnika ku szczytom...

Istnieje przekonanie, że opal, położony na zielonym, lśniącym „oku“ pawiego pióra, wzbogaca i zwiększa swoją zdolność opalizowania. Poprostu pięknieje w zetknięciu z niemniej ciekawym dziwem przyrody, jakim są błyszczące pióra tego królewsko-wspaniałego ptaka.

Mówi nam to o jeszcze jednej cennej właściwości opalu: że umie czerpać piękno ze swego otoczenia, wzbogacając własne, bez uszczerbku dla źródła, z którego bierze wzór! Jakaż to wspaniała cnota, mało znana nawet najszlachetniejszym duszom!

Umieć wszystko przetworzyć na światło, na dobroć, na miłość! Zrozumieć, że każde rozczarowanie, każda zapoznana i nieodwzajemniona życzliwość, każda zniszczona nadzieja, pomnaża tylko wartość naszej Prawdy, ugruntowując ją tem mocniej, by, pozbawiona złudzeń, stanęła przed nami tak jasna i wyraźna, jak słońce, które tem promienniej prześwieca przez gałęzie drzew, im mniej ono posiada liści!

Ukochajmy piękno cierpienia i nauczmy się doceniać wartość życiowych doświadczeń, a każda wylana łza zmieni się w bezcenny opal, który ozdobi najczarowniejszym klejnotem ciche, proste i pełne poświęcenia serce.

[Ezoterycy przydzielają opal ludziom, urodzonym na trygonie „wodnym“: w znaku Ryb (od 19. II. do 21. III.), w znaku Skorpjona (od 23. X. do 23. XI.) i w znaku Raka (od 22. VI. do 23. VII.)].

## O sugestji myślowej

(Ciąg dalszy.)

Rozdział IV.

### Doświadczenia z Hawru.

W sierpniu 1885 r. *Paweł Janet* odczytał w Tow. Psychologiczno-Fizjologicznem komunikat, który mu przysłał siostrzeniec jego, profesor liceum filozoficznego w Hawrze — *Piotr Janet*. Tematem komunikatu były doświadczenia, dowodzące istnienia fenomenów we śnie somnambulicznym. Sam już tytuł, który brzmiał: „O fenomenach somnambulizmu“, tchnął rewelacją. Było to sprawozdanie z całej serii doświadczeń, robionych przez panów Giberta i Janeta, które udowodniały nie tylko samo istnienie sugestji myślowej, ale także możliwość pojawiania się jej na odległość wielokilometrową i bez uprzedzenia o tem medjum.

Jasnym jest, że z wielkiem napięciem uwagi i zainteresowaniem słuchałem lektora. Całe zresztą zebrane towarzystwo niezmiernie było zaciekawione i poruszone, choć nie bez pewnej dozy niewiary i zastrzeżeń.

P. Janet wstrzymał się od jakiegokolwiek teorii i komentarzy — cytował jedynie fakty — pozostało więc tylko wierzyć albo nie wierzyć. Komunikat został przeczytany przy zupełnej ciszy na sali, oczywiście poza czysto formalnymi uwagami p. Charcot, przewodniczącego. Istotnie, nie było o czem dyskutować. Można było chyba tylko sprawdzić fakty. Postanowiłem tego dokonać i przy pierwszej nadarzającej się sposobności zrealizowałem swój projekt.

Robiłem już wiele doświadczeń, poszukując przejawów sugestji myślowej i nie miałem już żadnych zastrzeżeń co do jej istnienia. Była dla mnie oczywistą, ale fakty, zebrane przez pp. Janeta i Giberta, nadawały zagadnieniu nowe oblicze, nowy charakter. To nie były doświadczenia, jakie obserwowałem z medjum, p. D. lub panem M. To było znacznie coś więcej — bo usypianie medjum na odległość i bez jego wiadomości.

Przedewszystkiem postanowiłem sprawdzić ostatni eksperyment z szeregu opisanych, rozpatrując go ze stanowiska teorii sugestji i magnetyzmu wogóle. Jeżeli pp. Gibert i Janet mylili się w jakich szczegółach, należało te pomyłki rozjaśnić i dowieść, że sugestja myśli nie jest egzaltacją dotychczas niewytłumaczoną i nierozumianą, lecz istotną transmisją w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Medjum, które brało udział w tych doświadczeniach, była pani B., wieśniaczka, dzielna, zdrowa kobieta z Bretonji, lat około pięćdziesięciu, skromna, uprzejma, inteligentna, choć wcale nie wykształcona (nie umiejąca nawet pisać). We wczesnej młodości cierpiała na histerję, ale została przez jakiegoś magnetyzera wyleczona i od tej pory cieszyła się świetnym zdrowiem, często atoli wpadała w sen somnambuliczny sama przez się. We śnie

jedynie, jeżeli działały na nią sprzeczne wpływy, dostawała histerycznych wstrząsów. W stanie normalnym napadów histerycznych nie miała już nigdy. Pozostała jej jedynie wrażliwość hipnotyczna, która powodowała sen somnambuliczny, wizje i halucynacje. Od pewnego czasu stany te nawiedzały ją coraz częściej, ale nie godziła się nigdy na robienie doświadczeń. Zgodziła się dopiero na nie, gdy zaproponował jej to p. Gibert. W tym celu udała się na pewien czas do Hawru.

Usypiała bardzo łatwo; wystarczyło potrzymać ją za rękę ze skupioną intencją uśpienia jej. Inaczej uśpić jej nie było można. Po kilku minutach usypiania (od 2—5 minut, zależnie od tego, który z panów ją usypiał), spojrzenie jej stawało się mętne, powieki poczynaly drgać coraz szybciej. Pierś wznosiła się ciężkim oddechem — w całej postaci wyczuwał się jakiś chorobliwy, bolesny stan. Często medjum dostawać zaczynało drgawek, poczem raz głęboko westchnęło i opadało wtył, głęboko uśpione.

Objawy tego stanu były: zupełne znieczulenie nerwowe, skurcze całego ciała, prawie momentalnie się ukazujące, bardzo głęboki sen.

21 sierpnia pojechałem do Hawru. Zastałem tam pp. Giberta i Janet. Byli tak niezachwianie pewni przejawów sugestji myślowej na odległość, że nie stawiali mi najmniejszych trudności, gdy zaproponowałem im sprawdzenie fenomenu.

Panowie: *F. Myers, dr Myers*, członek tow. angielskiego *Society for psychical Researches*, p. Marillier z *Société de psychologie physiologique* i ja utworzyliśmy coś w rodzaju komisji, określającej warunki i szczegóły każdego seansu i doświadczenia za ogólną zgodą.

A trudności były rozliczne:

1. Ustalenie godziny ściśle określonej. Wybierana więc była na los szczęścia.

2. Na kilka minut przed terminem komisja nasza zawiadamała o tem p. Giberta i zaraz potem udawała się do pawilonu medjum.

3. Ani medjum, ani żaden mieszkaniec pawilonu nie znał godziny eksperymentów, jak również nikt na przestrzeni kilometra nie wiedział, jakiego rodzaju doświadczenia dokonywujemy.

4. Aby uniknąć bezwiednej sugestji, nikt z członków komisji nie wchodził do pawilonu przed przewidywanym przez nas czasem zaśnięcia medjum. Wchodziliśmy dopiero, aby sprawdzić, czy medjum zasnęło.

**Pierwsze doświadczenie.** Dr Gibert miał uśpić medjum, siedząc w swoim gabinecie na ulicy Saint-Quentin 51, i rozkazać mu wyjść na ulicę. Początek naznaczony był na godzinę 5-tą 50 min. Wykonanie rozkazu przewidywaliśmy na godz. 6-tą 5 min.

O godz. 6-tej przyszlśmy na ulicę de la Ferme 5, gdzie znajdował się pawilon, lecz trzymaliśmy się dość daleko budynku, aby niczyjej uwagi nie zwrócić.

Przeczekaliśmy kwadrans czasu napróżno; medjum nie wyszło na ulicę. Należało więc przypuszczać, że eksperyment się nie udał.

Zadzwoniliśmy zatem do drzwi pawilonu i weszliśmy na pierwsze piętro. Nikogo po drodze nie spotkaliśmy.

Dwuch z nas poszło do kuchni pod pretekstem, że chcą się poinformować, czy p. Gilbert przyszedł. Zastaliśmy medjum siedzące bez ruchu, lecz nie uśpione. Przeszlśmy do drugiego pokoju, informując się wzajemnie, że

seans się nie udał, gdy wtem weszła pani B., przeszła koło nas i znikła w drzwiach następnego pokoju. W kilka minut podażyliśmy za nią i ujrzelśmy ją wyciągniętą na kanapie w śnie letargicznym.

Nie rozumieliśmy, co zaszło. P. Gilbert miał teraz czas przyjęć, nie mógł więc przyjść nam sprawę wytłumaczyć. P. Janet zaczął więc zadawać pytania uśpionemu medjum. Pani B. zaczęła opowiadać, że o 6-tej godzinie naraz poczuła wielką senność, wstała więc, aby pójść położyć się w swoim pokoju, gdy dzwonek u drzwi wejściowych wstrząsnął nią. Skryła się więc najpierw do kuchni, a potem poszła położyć się do salonu, nie mogąc zwalczyć senności.

— Ja wiem, — mówiła — to p. Gibert urządza ze mną takie sztuczki. Dlaczego wy mnie męczycie i przeszkadzacie, nie uprzedziwszy nawet?

Korzystając z tego, że medjum pogrążone było we śnie somnambulicznym, chcieliśmy na własną rękę zrobić z niem eksperyment, ale przerwała nam, mówiąc:

— Gdzie jest pan Gibert? Ja muszę iść do niego. — Starła się nas usunąć i wymknąć się nam, aby wyjść na ulicę, ale zatrzymaliśmy ją.

Po godzinie oddaliliśmy się, a p. Janet obudził medjum. Nie pamiętała nic, tylko głowa ją mocno bolała. Wieczorem podenerwowane medjum samo ze siebie zasnęło snem somnambulicznym i w tym śnie poszło do ogrodu szukać p. Gilberta. Nie mogliśmy jej utrzymać, sprowadziliśmy więc p. Gilberta, który dopiero ją uspokoił.

Pomimo, że eksperyment nie był zupełnie udany, niezrażeni naznaczyliśmy następne posiedzenie na godzinę 12, min. 18 — tejeż nocy, byliśmy bowiem przekonani, że pani B. śpi u siebie snem zwykłym, naturalnym.

**Drugie doświadczenie:** Miało na celu przetworzenie naturalnego snu w sen somnambuliczny, w którym pani B. miała przyjść do gabinetu p. Gilberta na ulicy Saint Quentin.

Członkowie naszej komisji sami nie wierzyli w powodzenie tego eksperymentu, gdyż po raz pierwszy seans miał się rozpocząć w czasie normalnego snu medjum; jakoż eksperyment się nie udał, gdyż medjum nie pszyzło.

Nie chcieliśmy chodzić i sprawdzać, czy jakiegokolwiek ślady działania myśli na odległość istniały, gdyż było już bardzo późno i niepokoić mieszkańców pawilonu nie mieliśmy zamiaru. W każdym razie p. B. nie opuściła swego pokoju. Jediną zmianą w zwykłym trybie jej życia była późna pora przebudzenia się jej nazajutrz. Zazwyczaj wstawała wcześniej; tym razem obudziła się dopiero po 10-tej rano ze silnym bólem głowy, który jej nie opuścił aż do południa, tak, że zmęczona udała się na górę do swego pokoju, aby wycoczyć.

**Trzecie doświadczenie:** właśnie naznaczył p. Gibert na porę przedpołudniem i punkt 12-ta zaczął wysyłać myśli. Trwało to 10 min., poczem udaliśmy się do Pawilonu. Medjum miało wyjść ze swego pokoju i ułożyć się do snu w salonie. Aby jej nie budzić i nie sugerować własnymi myślami, poszliśmy do kuchni i posłaliśmy do niej kucharkę z zapytaniem, czy zejdzie na śniadanie.

Pani B. chodziła nerwowo po swoim pokoju: „Ja nie wiem, co mi jest, coś dziwnego się ze mną dzieje, ale zaraz zejdę na dół“ — rzekła do kucharki.

Zeszła dopiero po dziesięciu minutach. Obserwowaliśmy ją zdaleka. Nie była zupełnie uśpiona, ale nie była i zupełnie przytomna. Robiła wrażenie, że nie wie, co się koło niej dzieje i że nie wie, czego sama chce. Chodziła po



pokojach, przechodząc z jednego do drugiego — w końcu wpadła w sen letargiczny.

We śnie zaczęła się do nas skarżyć na p. Giberta, gdyż odrazu zorientowała się, że to jego wpływ myślowy tak na nią działa. „Ale musieliście czekać na mnie (zaśmiała się). Włożyłam ręce do zimnej wody. — To mnie na dość długi czas utrzymywało w przytomności. Ale gdzie jest p. Gibert? Dlaczego on nie przychodzi? Poco mnie tak męczycie? Muszę iść go poszukać... (ze smutkiem). Dlaczego on nie chce, abym przyszła?“

W czasie tego seansu zrobiliśmy kilka doświadczeń.

Każdy z nas podchodził do niej, a ona lekko dotykała jego wielkiego palca. W ten sposób rozpoznawała obecnych. — Był to jej ulubiony sposób rozpoznawania ludzi, zupełnie dla niej naturalny i nie chciała wcale zmienić go na jakikolwiek inny.

Gdy dotknęła mego dużego palca, oświadczyła mi, że mogę mieć na nią duży wpływ i że mogę ją usypiać. — Panu nie umiałabym powiedzieć „nie“, — rzekła.

Od tej pory wyczuwała odrazu moją obecność, co sprawiało jej widoczną przyjemność. Chcąc sprawdzić, czy istotnie wywieram na nią wpływ, kazałem jej myślowo, aby podała mi rękę i w tejże chwili zauważyłam, że poczęła drżeć, potem nachyliła się do mnie i podała mi rękę. Powtórzyłem to samo doświadczenie trzy razy i zawsze z dobrym skutkiem. Była wtedy w stanie monoideowym. Gdy stan jej przeszedł w bezideowy, doświadczenia albo zupełnie się nie udawały, albo wypełniała rozkazy z dużym opóźnieniem.

W stanie somnambulizmu aktywnego, doświadczenia udawały się niekiedy, ale tylko wtedy, jeśli medjum nie było zbyt zaabsorbowane czemś innym, np. rozmową z p. Janet lub kim innym, albo jeśli nie było całkowicie pochłonięte własnymi myślami. W tych wypadkach nigdy nic mi się nie udawało. Zauważyłem również, że zbyt silnie posyłane myśli utrudniają czystość odbioru, gdyż medjum stawało się zanadto podniecone, często dostawało skurczów spazmów i ogólnego napięcia. Najlepiej odczytywana była przez medjum myśl jasno sformułowana, ale posłana bez specjalnego napięcia — ot tak, mimochodem.

Zrobiłem dwa doświadczenia z dużym napięciem myśli i obydwie się nie udały.

Za pierwszym razem schowałem się wgłąb pokoju, kryjąc się za p. Janeta i posłałem rozkaz myślowy, aby medjum uklękło. Patrząc na nią przez palce rąk zauważyłem, że pani B. zdradzała ogromne podniecenie — zaczęła oczami szukać mnie, lecz oczy jej były bez wyrazu, jak obłąkane. Wyglądała jak medjum pana Donato, które wpatrzona nieprzytomnie w swego magnetyzera, chodziło wszędzie za nim. A więc był to stan jakby oczarowania, zbliżony do monoideizmu, ale z pewnym odchyleniem, ponieważ owo oczarowanie jest stanem w wysokim stopniu pasywnym, w niem bowiem utrzymuje się wzrokiem medjum, jakby przygważdżając je do siebie i można niem kierować, jak się podoba. Taki stan jest b. wrażliwy na wszystkie widzialne, zewnętrzne wpływy, a więc np. gesty — medjum musi być jednak wtedy spokojne. Jeżeli będzie poekscytowane przez nasz wzrok, zaczyna dostawać poprostu gorączki, zaczyna tracić zdolność postrzegania zjawisk i wrażeń pobocznych, gdyż całe zostaje pochłonięte wzrokiem magnetyzera. Staje się tak żarliwym w słuchaniu magnetyzera i chodzeniu za nim, że każda najmniejsza przeszkoda wpro-

wadza je w irytację. Jest ślepo posłuszne wzrokowi magnetyzera. I tu już stan stawać się zaczyna niepasywnym, lecz jednoideowym aktywnym — więcej nawet, — staje się monomanją hipnotyczną.

Działając z oddalenia i kryjąc się przed oczyma medjum, powodowałem stan podobny, bardziej jednak podniecony, a mniej zdecydowany, ponieważ medjum nie widziało moich oczu. Było więc z tego powodu podenerwowane, bo odczuwało potrzebę spełnienia nakazu, a nakaz był za mało jasny. Medjum chciało podporządkować się jednemu rozkazowi i jednej roli, a zanadto było naprężone, aby rozkaz ten odebrać. Ten nastrój zaczął wprowadzać medjum w stan bezideowy.

Pani B. początkowo podniosła się, potem nachyliła. Myślałem, że uklęknie, ale po chwili oczekiwania znów się wyprostowała i stała. Zmieniłem więc rozkaz i powiedziałem jej w myśli, aby podeszła do mnie i dopiero przed moim fotelem uklękła. Chwiejąc się, podeszła do fotelu. W tym momencie rozkazałem: „Na kolana!... na ziemię!... I zaraz przestraszyłem się, że pani B. może upaść i uderzyć się, aby jednak nie komplikować rozkazów, powtórzyłem — Na kolana! Pani B. zachwiała się i upadła w ramiona p. Janeta, pogrążona w stan letargiczny.

Następny eksperyment, sugerowany przez p. Fr. Myersa, również się nie udał. Medjum miało wziąć w ręce poduszkę, leżącą w lewym rogu kanapy. Seans trwał bardzo długo, ponieważ różne stany snu następowały po sobie niesłychanie prędko, przerywane tylko ciężkimi westchnieniami. Chwilami nie było żadnej reakcji, to znów medjum wpadało w monomanię gorączkową, co maćilo czysty odbiór transmisji. Pani B. wyciągała ręce w kierunku poduszki, ale jej nie brała. W końcu podeszła do kanapy i uklękła przed poduszką — jakby wypełniając wczorajszy, niespełniony przez nią rozkaz, o którym przecie nie myślała.

Ale ta podświadoma pamięć rozkazu wczorajszego nie jest bynajmniej pewną i nie mogę jej w żaden sposób dowieść z tego jeszcze względu, że sam skomplikowałem niechęcący dociekanie tego. Chodzi o to, że w czasie snu medjum głośno opowiadałem, iż na wczorajszym seansie naumyślnie wybrałem ten a nie inny rozkaz, ponieważ z poprzedniem moim medjum nie udał się, chciałem więc wypróbować ten sam rozkaz na innym medjum. Mówiłem o tem głośno i swobodnie do otaczających, nie krępując się panią B.: której sen bezideowo-letargiczny wykluczał odbiór nawet głośnych słów. Taka przynajmniej jest teoria — ale czy tak jest istotnie, nie jestem tego zupełnie pewien. Może stan bezideowy nie jest wrażliwy na transmisję myśli, a może być wrażliwy na słowa, nawet nie do medjum kierowane. A więc — jeżeli to jest możliwe — medjum mogło zanotować obecne moje słowa, a nie przechowywać pamięci wczorajszego rozkazu. Naogół eksperymentatorzy za mało zwracają uwagę na wszystkie możliwe komplikacje, uważając je za zjawiska drugorzędne, nie mające znaczenia. Jest to wielki błąd, gdyż inaczej nie można robić ścisłych obserwacji.

Na trzecim seansie kazałem medjum, aby podało mi prawą rękę. Doświadczenie udało się tylko częściowo: medjum wyciągnęło rękę w moją stronę, lecz mi jej nie podało.

Muszę zaznaczyć, że wszystkie te eksperymenty wykonywałem nie dotykając nawet jednym palcem medjum — a przedtem ani razu go nie magnetyzowałem. Było więc ostatnio pod wpływem p. Giberta i p. Janeta, którzy je magnetyzowali.

(C. d. n.)



Marja Florkowa

## Po tamtej stronie...

Nowela.

Dokończenie.

— Wiedziałem — zawołał — że wydrę cię ze szponów Kostuchy! Ależ cię też trzymała mocno! Całe sześć godzin leżałeś bez przytomności!

Marek zamknął oczy. Szarość otoczenia była bolesnym kontrastem tej promienności, którą sycił „oczy“ i duszę tam — w świątyni wawelskiej... Z radością byłby powrócił do dziwnego świata, który się zamknął nagle przed nim, pozostawiając go, bezdomnego, u wrót...

— Marku! czy znów czujesz się źle? — usłyszał trwożne pytanie lekarza.

Otworzył oczy i starał się uśmiechnąć. Ale cierpki ból spowijał mu duszę. Z królestwa cudnej bajki powracał do szarej rzeczywistości. Brakowało mu w niej kogoś bardzo bliskiego, bardzo ukochanego.

— Gdzie Halina? — szepnęła nagle strwożony. Lekarz, pochylony z troską nad rannym, dosłyszał pytanie. Ale nie zrozumiał go:

— Czyż w aucie była razem z tobą jeszcze kobieta?

— W aucie? — przypominał jakieś odległe dzieje Wolski — nie, wówczas byłem sam, ale teraz przed chwilą...

I nagle zrozumiał rzeczywistość: nie było żadnej Haliny! Cudny sen rozwił się rychło, a on pozostał samotny z piekącą tęsknotą w duszy.

— Marku — zaniepokoił się lekarz — mówisz, że przed chwilą byłeś z kobietą, z jakąś Haliną — czy możesz to wyjaśnić bliżej?

Biedny człowiek stanął nagle wobec dwu groźnych powikłań: albo Marek na skutek wstrząsu przy wypadnięciu z auta stracił poprostu pamięć i orientację, albo też była może w obecnej tragedji jakaś kobieta, która przyczyniła się do katastrofy...

Ale Marek nie śpieszył z wyjaśnieniem. Spojrzał na lekarza, na biały pokój szpitalny, na złote promienie słońca, odbijające się w liściach drzew, zieleniejących za oknem, i rzekł raczej do siebie, niż przyjaciela:

— Istota, którą człowiek najmniej zna, której zawsze wierzy, a która go najczęściej zawodzi, jest — on sam...

I obdarzywszy smutnym uśmiechem zdumionego lekarza, ponownie zamknął oczy.

— Marku! — strwożył się lekarz — czy nie słyszałeś mojego pytania? Czy jesteś przytomny, czy mię rozumiesz?

— Słyszałem i rozumiem. Nie było w aucie żadnej kobiety. Ani przedtem, ani nigdy... A teraz proszę cię, nie męcz mię dłużej, chcę poprostu spać!...

I odwróciwszy w bok głowę, ukrył bolesny skurcz ust w bieli chłodnej poduszki.

Lekarz cicho, na palcach, usunął się pod okno. Postanowił czuwać nad chorym bez przerwy. Nie rozumiał Marka, ale wyczuwał jedno: poza czysto zewnętrzną, przypadkową katastrofą auta, chory przeżywał jakiś wewnętrzny konflikt. Dobre serce starego przyjaciela postanowiło czuwać, aby nieść każdą pomoc, jaka okaże się wskazana.

— Halina... hm... Halina... nie bez powodu wyszeptał przecież to imię, tu coś tkwi... ale co? — —

I steraną, siwą, poczciwą głowę oparł o wysokie oparcie krzesła. Rozluźnił znużone mięśnie. Powoli przygotowywał się do długiego, smutnego wieczoru i krótkiej, letniej, bezsennej nocy.

Marek powoli przychodził do sił. Wewnętrzny uraz nie okazał się zbyt groźnym, a złamana noga zstawała się szybko. Młody organizm pracował ze zdwojoną siłą. Podobnie z wiosną goją się szybko rany i cięcia na mocnych, zdrowych konarach.

Tylko psychicznie stawał się dla otoczenia zupełnie niezrozumiałą zagadką. Dawny wesoły, beztroski, lekkomyślny i bardzo buńczuczny Wolski zniknął bez śladu. Nawet radość ze zwycięstwa, jakie odniósł w czasie zawodów, była mu tak jakaś daleka i obca, jakby cały ten triumf należał do kogoś innego, bardzo luźnie związanego z Wolskim. Żył, pogrążony w milczących dumaniach, zadając od czasu do czasu pytania, które wprowadzały w kłopot sędziwego lekarza.

— Czy ty boisz się śmierci?

— Tak często stykam się z nią, że już przechodzi właściwie bez wrażenia!

— U innych witamy ją obojętnie, ale gdyby tobie zagładnęła nagle w oczy?

— Mnie? — głęboka bruzda przecięła dumne czoło, okolone siwymi włosami. — Nie, nie wiem... Jest trochę niesamowita ta ciemność, jaka przesłania wszystko, po tamtej stronie! Ale ostatecznie — — nie jestem przecież tchórzem...

— Ciemność? O Jurku — ciemność „po tamtej stronie“!? Ależ to tu właśnie wszystko jest ponure, żałobne, bezpromienne i martwe. Straszne jest pomyśleć, że przy moich latach i moich siłach pół wieku upłynąć może, zanim — — zanim — —

Tu spojrzął na przyjaciela i umilkł. Lekarz z jawnym niepokojem patrzył w jego rozplomienioną słowami twarz.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Marek — powiedz szczerze: masz mię teraz za warjata — nieprawdaż?

— Nie jestem — rzekł powoli — zbyt skory do definjowania stanów psychicznych ludzi według pewnych pozorów, to pewne jednak, że jesteś obecnie jakiś inny od nas wszystkich, a przed katastrofą nie widziałem zupełnie owej różnicy...

— O, przed katastrofą!... Jakże ja jej wiele zawdzięczam!

— Przedewszystkiem sztywne kolano!

— Zato mózg o ileż elastyczniejszy, niż dawniej. Pojemność jego zwiększyła się niepomniernie; tkwią w nim pojęcia jasne i ugruntowane, a jednak tak różne od twoich, że gdybym na chwilę wprowadził cię w świat moich myśli, odesłałbyś mię z miejsca pod obserwację jakiegoś specjaliste od chorób umysłowych.

— Musi być jakiś powód tego „zwiększenia pojemności mózgu“. Nie sądzę, aby szukać go należało w tem, że — przez godzinę leżała twoja głowa w chłodnej, mokrej od rosy trawie...

— Nie, bądź spokojny. Mój „wstrząs mózgu“ nastąpił na zgoła innej płaszczyźnie...

Marek śmiał się niemal pogodnie i to uspokajało przyjaciela. Cokolwiek stało się owego dnia, skutki nie mogą trwać długo. Zapewne, że kto tak blisko spojrzal śmierci w oczy, nie może łatwo powrócić do dawnej bez troski. A Marek był wrażliwym, wysubtelnionym chłopcem.

Przez szereg dni nie poruszał chory żadnych niesamowitych tematów. Aż razu pewnego zapytał znienacka:

— Czy ty wierzysz w życie po śmierci?

— Cóż za pytania chodzą ci po głowie! — otrząsnął się niemile lekarz. — Zostaw to księżom i dewotkom. My jesteśmy ludźmi czynu i refleksje mnichów niewiele nam przyczynią korzyści...

— No, niewiadomo!... wolałbym przecież wiedzieć, ku czemu zdążam przez życie. Ku nicości — czy innej formie bytu?

Stary przyjaciel pokrył śmiechem zmieszanie:

— Po co mnie pytasz? To ty przecież przez szereg godzin byłeś prawie umarłym. Jeśli tam jest jakieś życie, jakiś byt — to — bodaj przez dziurkę od klucza musiałeś coś zobaczyć?

— O tak, owszem — potwierdził z powagą Marek. — Widziałem nawet więcej, niż przez szparę we drzwiach ujrzeć można...

— No i — — ?

— I jeżeliby mi przyszło teraz sądzić nas obu, powiedziałbym, że to ty jesteś obłąkanym, twierdząc, iż cała nasza świadomość, nasze „ja“ istotnie unicestwia się w godzinie śmierci...

— Wiesz Marku, ja jestem przedewszystkiem chirurgiem. Krajałem żywych i umarłych. Poza zmianami czysto fizjologicznymi, nie znalazłem innych. Gdzież jest to właśnie, co ożywia ciało i co potrafi przetrwać śmierć?

— Jurku, pytasz jak mały chłopak. Gdy byłem dzieckiem, chciałem raz stwierdzić, gdzie w przewodach elektrycznych jest to, co świeci, a przez co drut nie staje się w czasie świecenia ani grubszy, ani cieplejszy... I pomyśl, o mało nie uległem porażeniu... Stwierdziłem, że jest jakaś potężna siła, ale — mimo wszystko — nie zobaczyłem jej...

— Śmieszne porównanie Marku. Działanie elektryczności stwierdzić możemy setką aparatów!

— A czyż istnienie duszy, nie da się stwierdzić poprzez wszystkie dzieła geniuszu człowieka?

— ???

— Oh, nie rób tak nieufnie zdziwionej miny. Myślę teraz wiele nad codziennymi zjawiskami w życiu i świecie i — widzę ciekawe a zadziwiające różnice.

— O jakież naprzykład?

— Że rośliny, drzewa, a nawet zwierzęta rodzą się i umierają, pozostając nawet w setnym pokoleniu zupełnie bez zmiany! A człowiek? Już my jesteśmy inni, niż byli nasi rodzice, a nasze dzieci wydadzą się — dzięki postępowi w dziedzinie techniki — naszym dziadkom niemal cudotwórcami! Czemu to zawdzięczać? Oto poprostu, że to, co w nas jest najlepsze, przeżywa fizyczne ciało i trwa nadal... I nie tylko trwa, ale postępuje naprzód. Dojrzewamy ustawicznie, rośniemy ku górze i zmieniamy się, jak rosnąca roślina, która w każdym dniu wykazuje jakieś zmiany, jakiś powolny, lecz niezmienny pochod ku dojrzwaniu...

— I wreszcie usychamy tak samo, jak roślina — pokiwał głową lekarz.

— Ale nawet w niej zostaje coś, co trwa nadal, co każe roślinie powtórzyć swoje życie wraz z wiosną, która ją zbudzi... Nie, nic nie ginie, nawet biedna stokrotka jest niemal nieśmiertelna!

— Podziwiam twoją energję Marku: gdy byłeś zdrowy, zamęczałeś maszynę, aby tylko wykazać sprawność jej biegu, gdy jesteś unieruchomiony w łóżku, wysilasz mózg, aby wybiec daleko, poza określone linje normalnego myślenia! Ale jeżeli sprawia ci to przyjemność...

— Pozwolisz się dalej zanudzać. Nie lękaj się. Już wiem, czego mogę spodziewać się po sposobie myślenia takich, jak ty „umielców“. Jedno mię tylko pociesza, że chociażby jakąś prawdę cały świat wyśmiewał i zaprzeczał — ona prawdą i nadal pozostanie!

Po parutygodniowym pobycie w szpitalu Marek, wspierając się jeszcze na lasce, opuścił swoje „wiznienie“, aby rozpocząć dawne, pełne emocyj i przygód życie. Tak przynajmniej sądzili jego koledzy. Ale spotkał ich przykry zawód. Marek wycofał się z życia sportowców, opuścił Warszawę i osiadł na stałe w Krakowie. Całemi godzinami przesiadywał na Wawelu, lub błąkał się po ulicach, które przypominał sobie z mglistych już, ale niemniej istotnych przeżyć...

Wieczory i noce, często bezsenne, spędzał na czytaniu książek, które wprowadzały go w inny świat, rozjaśniając i tłumacząc wiele piekących zagadek... Ale mimo wszystko, pożerała go tęsknota za dziewczęciem, o którym nawet nie wiedział, czy żyła kiedykolwiek na świecie. Może to tylko jego podświadoma tęsknota wyczarowała ów dziewczęcy kształt i ubrała go we wszystkie powaby niewinnej, a promiennej młodości? — —

Szukał jej, przywołując najczulszemi wyrazami, tonął w niesamowitych wspomnieniach, zanurzając się z wolna w melancholję pełną niezgłębionej tęsknoty.

W jakimś smutnym, jesiennym dniu, gdy przywoływanie Haliny zmieniło się w głuchy jęk udręczonego serca, powlókł się powoli na Wawel. Mroczna o tej porze katedra owionęła go dostojną ciszą. Znał tu już każdy kamień, mowę każdego sarkofagu. I znał cudowny, niezgłębiony czar miejsca, gdzie trzy oliwne lampki sięgają swój nikły brzask, a marmurowe wnętrza kaplicy zaprasza do dumań i modłów. Ale zasunięte żelazne kraty wzbraniały wejścia. Więc ukląkł u czarnych wrót i oparłszy czoło o zimne odrzwia, zamknął oczy, oddając się najwnętrznieszej modlitwie. Nie miała ona nawet słów w swej rozmowie z Bogiem, ale była jednem wołaniem, jedną prośbą udręczonej, samotnej duszy, która pragnie ciepła i światła...

Trwał tak długo, nie wiedząc, czy klęczy godzinę, czy wieki całe...  
W pewnym momencie spłynęła nań widoczna ulga. Jakby skrzydła anielskie otoczyły go miękkim puklerzem. Tęsknota zcichła.

Halina była obok. Czuł to każdym nerwem, każdą kroplą krwi.

— Oby się tylko nie zbudzić — pomyślał — i nie utracić jej znowu!...

— O Panie, wróć mi ją! — zaszeptał zbielełymi wargami — wróć i nie pozwól, abym się błąkał samotny!

Nisko pochylił głowę. W-kowej prośbie ślaniał się przed Światłem, które promieniowało na całą jego Ojczyznę.

— Wróć mi ją Panie, niech mię wesprze i niech mię nauczy służyć tobie!...

Całował w pokorze zimny proch posadzki. Kajał się, jak dziecko u kolan ojca...

— Czy panu może słabo? — posłyszał cichy szept nad sobą.

Nie, nie miał siły się podnieść, nie chciał wracać do życia, do zimnej, szarej rzeczywistości. Było mu dobrze leżeć unicestwionym u stóp Czarnego Krzyża...

Ale jakieś ramiona dźwignęły go, jakieś dłonie podnosiły jego głowę ku górze. I nagle:

— O Boże... Marku!!

Zastygło w nim wszystko od tego głosu, rychło jednak otworzył oczy i wpił się głodny, stęskniony w uroczym zjawisku: Halina klęczała przed nim, spłoszona i radosna, a duże łzy lśniły w jej oczach. Była żywą, istotną i oto drżącymi ramionami podtrzymywała jego ślaniającą się postać.

Zerwał się z kolan i, ujmując wiotkie dłonie dziewczęcia, zapytał pół-przytomnie:

— To ty jesteś Halino, czy tylko mój sen o tobie?

— O Boże — szeptała dziewczyna — o Boże, dzięki ci!

Spłótszy w gorącym uścisku ręce, spojrzeli w górę na umęczoną postać Chrystusa. Ale twarz Zbawiciela zdawała się uśmiechać łagodnie i z pobłażaniem:

— Miłujcie się, albowiem w miłości waszej niema grzechu!

Serca ich były mocno, radośnie. Gdzieś zadzwoniły klucze strażnika świątyni. Więc skierowali kroki ku wyjściu, nieomal płynąc po twardych płytach posadzki. Już zapomnieli, jak ciężko stapały ich nogi wówczas, gdy szli tu samotni, pędzeni tęsknotą i smutkiem...

— Halino!

— Marku!...

I dłonie ich splatały się jeszcze mocniej, a serca uderzały niemal głośno.

Gdy się znaleźli poza świątynią, Marek pełnym miłości spojrzeniem objął smukłą, najmilszą i jakże dobrze znajomą postać Haliny. Poczem rzekł po prostu:

— Jestem szczęśliwy, ale nic, a nic nie rozumiem. Tyś mądrzejszą ode mnie Halino, powiedz, skąd my się znamy?

Uśmiechnęła się promiennie:

— Przed kilku miesiącami zatrąłam się gazem. Przez szereg godzin byłam niemal że martwą, wówczas śniło mi się...

— Że mię spotkałaś za miastem, że szliśmy razem, oglądając najdziwniejsze zjawiska i tu na Wawelu...

— Tu straciłam cię z oczu. Oślniona światłem świątyni nie patrzyłam na ciebie, a gdy po chwili poszukałam cię... nie było nikogo koło mnie...

— A potem?

— Potem zbudziłam się w dużej sali. Pełno łóżek i kobiet w strojach pielęgniarek. Myślałam, że w dalszym ciągu mam jakąś niesamowitą gorączkę. Niestety, to była już rzeczywistość!

— I ze mną stało się podobnie. Po katastrofie automobilowej miałem złamaną nogę i jakieś komplikacje, które już dawno minęły... Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Gdzież tedy spotkaliśmy się wówczas?

— Tam, gdzie spotkamy się kiedyś raz jeszcze, aby już się nie rozłączyć rychło: „Po tamtej stronie“...

— Ależ i teraz nie rozstaniemy się już Halino! Nie mogę cię przecież utracić, ciebie, która w pracy nad sobą zaszła już tak daleko, że możesz być teraz moim przewodnikiem i nauczycielem!

Spojrzała na niego zarumieniona.

— I przedemną jeszcze bardzo wiele pracy. Lecz razem pójdziemy już naprzód. Myślałam o tobie nieustannie, ale, że nie należysz już do żyjących. Często przychodziłam na Wawel, aby być bodaj w myślach z tobą, bowiem wierzyłam, że tam — mocą mej tęsknoty — przywołam twego ducha... I — przywołałam!

Uśmiechnęła się promiennie, że Markowi pojaśniał nagle cały świat, ale równocześnie przypomniał własne słowa: Wróć mi ją Panie, niech mię wesprze i niech mię nauczysz służyć Tobie!

— Halino! to Bóg nas przywołał równocześnie, abyśmy wspólnie dalej poszli; złączeni sercem lepiej pracować będziemy — nieprawdaż?

Oczy ich utonęły w sobie. Nad nimi, w górze, uderzać zaczął zegar, znacząc godziny, które przemijają, mimo, że czas trwa wiecznie — ten sam — niezmienny.

W. Loga (Port Said)

Z cyklu „Duchowe oblicze Indyj“

## Światła i cienie podróży do Indyj

Kto z czytelników miał cierpliwość czytać moje spostrzeżenia i uwagi z podróży do Indyj, ten może w duchu zazdrościł mi okazji poznania tyłu cudów świata: groźnych oceanów i mórz, egzotycznych miast, zaczarowanego, jak w bajce, Cejlonu, majestatycznych, niebosiężnych Himalajów, szeptów nocy bengalskiej, wreszcie poznania jeszcze większego cudu — króla ducha wiekuistego narodu, w osobach jego znakomitych synów.

Faktycznie, w kalejdoskopie tych przeżyć zdają mi się samemu te widoki, spotkania, rozmowy, odczyty, zawarte węzły serdecznej przyjaźni, jakimś jednym, fantastycznym snem.

Niektórych przeżyć, jak w Himalajach, niepodobna jest streścić wogóle. Niektóre wymagałyby pendzla malarza lub liry poety.

Jeśli wspomnę, naprzykład, nocę nad Gangesem, kiedy po upalnym



dniu niepokalanie czyste niebo gwiazdziste łączy się z ziemią w harmonji z błędnymi ognikami milionów świętojańskich robaczek, tworząc jedną wielką iluminację bezgranicznych przestworzy; lub jeśli wznowie wizję starca, mędrca i poety Rabindranath-Tagore, witającego życzliwie może pierwszego Polaka w swej siedzibie, — to, doprawdy, wszystkie te wspomnienia z oddzielnych epizodów zlewają się w jedną jakąś fantastyczną symfonię.

Dla tych wyników ostatecznych warto jest ponieść niebывałe trudy.

O nich chcę właśnie dzisiaj mówić, aby dać czytelnikowi całkowity obraz podróży.

Nie jest ona zbyt prosta! Nie wsiada się tylko w Marsylji na okręt, który w 18 dni dowozi do Colombo, a tam już oczekują znajomi lub życzliwi z otwartymi rękami, przyjmują, goszczą, ujawniają swoje poglądy i tajemnice.

Wszystko to zdobywa się ogromnym nakładem sił, drogi czytelniku!

Same przygotowania do podróży, o ile ona niema być kosztowną przejażdżką dla przyjemności, powinny trwać lata całe.

Zmiana klimatu, pożywienia, dostosowanie się do najprymitywniejszych warunków bytu dziś, aby jutro znaleźć się w pałacu maharadży i nie zatracić nigdzie fasonu, opanowanie języków obcych, a głównie angielskiego, aby nie tylko być biernym, ale i dawać coś z siebie, konieczność opierania się na rekomendacjach osób znanych i poważanych, — oto, mniej więcej, co czeka podróżnika w Indjach, jadącego tam dla studjów naukowych.

Ale trudno o tem wszystkiem mówić. Opiszę przeto tylko parę innych momentów podróży i niech czytelnik sam osądzi i odwrotną stronę pięknego medalu, który chciałem odbić w cyklu feljetonów: Duchowe oblicze Indyj — dla pożytku szerszego.

Wspomniałem o cudzie nocy bengalskiej, ale tuż za niewinnymi robaczkami świętojańskimi, iluminującemi niebo i ziemię, czyhają na obserwatora miljardy komarów z nieuchronną w Bengalji malarją...

Pisałem o dotarciu w głąb Himalajów, do Nepalu, ku Tybetowi, ale tamże natknąłem się na najniezszczęśliwsze, obiektywnie biorąc, istoty: na trędowatych, rozkładających się za życia. Pewna ich część jest nawet na swobodzie, bo prawo tamtejsze nie przewiduje izolacji zaleczonych.

Wreszcie opiszę jeszcze jedno, może już banalne przeżycie: tajfun na morzu, aby mieć wreszcie materiał do konkluzji.

„Burzę morską“ zna każdy z czytelników, jeśli nie z przeżyć własnych, to z lektury z lat dziecinnych. Mimo to wspomnę o niej, nie tyle dla oddania grozy żywiołów, ile ze względów psychologicznych.

Kiedy okręt nasz wpadł w strefę szalejącego orkanu, kiedy ryk morza mroził krew w żyłach, a fale przerzucały się na pokład już drugiego i trzeciego piętra, pozostawanie zaś w kabinie stało się psychiczną torturą ze względu na stałe kołatanie fal, pragnących jakoby dostać się do wnętrza, kiedy nawet olbrzym stalowy 20 tysięcy ton drży, jakoby w febrze, — doprawdy chyba i żelazne nerwy człowieka, przywykłego nieco do refleksyj, muszą odmówić posłuszeństwa.

Człowiek taki zatracca się i gubi, może nie tyle w strachu przed mocą żywiołów, ile we własnych zwątpieniach i zagadkach: bytu — niebytu, radości — cierpienia, pożytku czy bezużyteczności podróży i wogóle życia.

Obawa już nietylko o siebie, ale i o pozostałe drogie osoby spokoju nie daje...

Wszystko to musi przemyśleć każdy człowiek w ciągnące się w nieskończoność godziny, pod akompanjament chaotycznych świstów i ryków, wobec straszliwej otchłani wód i chmur, złączonych w jednym uścisku.

Musi przemyśleć, jeśli myśli i czuje wogóle!

I tutaj przypominam sobie wynurzenia poety Tagore, w którymś z jego krótkich utworów „Sadhana“.

„Byłem ciężko chory, pisał poeta, groziła mi śmierć, i nic mnie tak nie przejmowało zgrozą, jak obawa, że nie zdążę wypowiedzieć tego, co mam dla narodu i ludzkości. Tyle myśli, tyle serca pragnę im jeszcze oddać! O ono lada chwila może przestać bić, a usta zamilkną na wieki!...

„A jednak... jeśli umrę, słońce znów wzejdzie w swym majestacie, ozłoci wierzchołki gór, zapali łąki i pola, tchnie życiem i zadrga jutro rytmem wszystko, co żyje w pracy...

„Świat potoczy się w swym zwykłym kolisku!... To, co mamy zdziałać, jako śmiertelni, zdziałają inni!... To zaś, co jest nieśmiertelne, umrzeć nie może — jest ono w nas wszystkich jednocześnie. To Duch Boży!

„Jesteśmy wszyscy Jego dziećmi — wszyscy: wielcy, czy mali, silni, czy słabi, uczeni, czy prostacy.

„On znajdzie drogę dla wypowiedzenia tego, co jest szeptem naszej wspólnej duszy. On zatroszczy się o pozostałych.“

Tak, Drogi Czytelniku! Życie to zmaganie stałe, nietylko z żywiołami! Częściej musimy staczać walkę wewnętrzną w nas samych w wiecznej rozterce i antytezie pomiędzy względnością i ograniczeniem naszego poznania a tęsknicą ku wyzwoleniu z ich pęt.

Te burze przeżywamy nietylko na morzu.

W każdym poważniejszym momencie życia wychodzą one wyraziściej przed oczy duszy. I to jest najwyższa nauka, jaką daje niebezpieczeństwo nam — „śmiertelnym“.

Ale czyż na nas nie czyhają nieznanne nam niebezpieczeństwa omal na każdym kroku?

Czyż więc nie jest dobrze być zawsze przygotowanym na śmierć, a wnikając stopniowo w Jedność Życia, pozbyć się i strachu przed nią?

Czyż nie jest dobrze, idąc nawet na zwykłą codzienną pielgrzymkę wśród ludzi, uprzytomnić sobie naszą duchową jedność, źródło wszelkiego altruizmu, poświęcenia i miłości?

---

*Poddawać się konieczności życia, jęcząc i narzekając, to nie jest żyć. Życie powinno być czynne i radosne. Podtrzymujemy zawsze w sobie waleczność uśmiechniętą i co rano uzbrajamy się w odwagę na to, co nam dzień przyniesie.*

\* \* \*

*Trzeba gromadzić w sobie przyczynę szczęścia najprostszą; to też nie należy nigdy zaniedbywać żadnej sposobności byc szczęśliwym.*

*Maeterlinck.*

# Powrót

Odwieczne zagadnienia, niepokojące ludzkość od zarania dziejów aż do dni naszych, porusza prof. *Stanisław Kazuro* w operze p. t. „Powrót”, wykonanej po raz pierwszy w Filharmonii Warszawskiej 3 maja b. r. Zagadnienie to zła i cierpienia, a także walki z niemi, podejmowanej przez świetlanego ducha w jego kolejnych wcieleniach. Duch ów, gnębiony i pokonywany wielokrotnie przez siły niszczące, powraca na ziemię, by pełnić swe dzieło dobroczynne dla zbawienia ludzkości i powracać będzie do chwili ostatecznego zwycięstwa, do czasu triumfu dobra i szczęścia na ziemi.

Prastare wierzenia i przeczucia, metafizyczne tęsknoty i nadzieje ludzkości ujęte są tu i wyrażone w muzyce, a forma to najodpowiedniejsza dla oddawania uczuć, sięgających poza granice fizycznego świata, w sfery planów wyższych, niedostępnych zarówno dla zmysłowego jak i racjonalnego poznania.

Autor „Powrotu” sam określa, co chciał przezeń powiedzieć, w słowach następujących<sup>1)</sup>:

1. Że jeżeli ludzkość cierpi i od początku swego istnienia przechodzi gehennę życia, to tylko dlatego, że nie przyszedł jeszcze ten, któryby, natchniony ideą zbawienia, zmienił dotychczasowy porządek życia i wydzwignął człowieka z obłędu tradycji, zakłamania się i nieuczciwej walki.

2. Że każdy człowiek bez wątpienia przeżył okres bolesnego rozczarowania, gdy doszedł do przeświadczenia, że ideały, głoszone przez prawo, religię i etykę, w praktyce życiowej są zupełnie czymś innym i nie mają z tamtymi prawie nic wspólnego.

3. Że każdy wielki reformator społeczno-religijny był prawie zawsze za życia tępiony za swe wzniosłe ideje, które po jego śmierci zostawały przez następców wypaczane, wciągane w kodeks dogmatów i ustaw — celem umożliwienia im żerowania na ciemnych wierzących masach.

(Zupełnie niszczyście przykazania Boże, abyście ustawę waszą zachowali. Ewangelja św. Marka, r. VII, w. 9.)

4. Że jest dobry duch w kosmosie, który co pewien czas wciela się w postać reformatora, żyje na ziemi, cierpi i umiera za zbawienie ludzkości. A po pewnym czasie — przez następne wcielenie — ogłasza na ziemi swój Powrót.

5. Że człowiek, nie mający w sercu idei dobra i szczęścia powszechnego i nie dążący do jej zrealizowania, nie posiada prawa do miana godności człowieka.

6. Że krzywda sprowadza zawsze karę — człowiek natomiast nie powinien nie czynić źle z obawy przed groźną konsekwencją, lecz z pobudek duchowych, płynących z serca.

---

<sup>1)</sup> Z racji napisania opery „Powrót”: „Co chciałem powiedzieć” — Filharmonja Warszawska, Przewodnik koncertowy: 1 maja 1936 r.

7. Że jeżeli ludzkość żyje dotychczas w straszliwych cierpieniach, zakłamaniach i powszechnej niedoli — to jedynie dlatego, że Idea zostaje w kajdanach...

Powracającym na ziemię Zbawicielem jest tu *Eos* — upragniony i oczekiwany od wieków wchodzi on do przybytku obłądy i kłamstwa, na targowisko dusz, by wyzwolić boską Ideję z pętających ją kajdan i „być człowieczy wrząc w sfery ducha“. Prowadzi go *Gea*, która łącznie z córką ludu *Chylonją* wtajemnicza Eosa w dolę ziemi nieszczęśliwej i cierpiącego na niej człowieka... w mrok i grozę ludzkiego bytu, w trapiące go choroby, głody, wojny, nędze i niedostatki... w otchłanie jego bólu, jego łez i rozpaczy...

Ideja, wyzwolona potężną siłą Eosa, odradza serca ludzkie, tworzy nowy zakon *powszechnego braterstwa*, w oparciu o cudowne właściwości przyrody, radość, szczęście i dobro sprowadza na ziemię.

W wielkim tym przełomie życiodajne moce przyrody pierwszorzędną odgrywają rolę. Oto kilka odnośnych fragmentów, śpiewanych przez chóry:

*„Odrodzenia szukajcie w puszczech przepastnych, które grają wieczystą pieśń życia i śmierci! Słuchajcie jej!“...*

*„Idźcie nad wody wielkie, co zapatrzone lazurowymi oczami w niebo — dumają!“*

*W nich utopcie swój ból i niepokoje!...*

*„Od czaru gór, poszumu łąnów zbóż, barwionych tęczą kwiecica łąk — i wszędzie tam, gdzie boski cud przyrody się pełni, uproście, by odpuszczony był wasz grzech, żeście się Jej wyrzekli<sup>1)</sup>), goniąc uludy moc!“...*

*„Błogosławione bądź o słońce złote!*

*Iż z mroków nocy tworzysz dla nas dzień wspaniały!*

*O ty, co życiem zdobisz okrąg świata!*

*O święta ziemio, karmicielko dobrotliwa!*

*Błogosławiona bądź!...*

*Błogosławiona bądź o puszczo leśna, iż mocą swą wypromieniowałaś na ziemię naszą radosną wieść!*

*Bądź pozdrowiona o Idejo boska, prawo najwyższe i tajemnico!*

*Wieków tys tchnienie! Z słońca zrodzona, bądź pozdrowiona!“...*

Z duszy człowieka bezwzględnie dobrego, z jego zadumy nad zagadką zła na ziemi wyrosło to dzieło, tchnące nadzieją w promienną przyszłość ludzkości. Oby najrychlej wystawione być mogło na szerokiej polanie, wśród lasów szumiących, aby „anteny drzew“ przesyłały światu wieść radosną, że oto odrodziły się dusze w blaskach z wycięskiego dobra, a jednocześnie odszedł z ziemi ból i cierpienie — po wiekowych zmaganiach i walkach ludzkość wstąpiła w nowe, wyższe sfery bytu, w dążeniu do dalszego, nieskończonego rozwoju...

Helena Witkowska.

<sup>1)</sup> Idei.



**Józef Świtkowski: MAGNETYZM ŻYWOTNY (mesmeryzm) i jego własności lecznicze.** Nakładem red. „Lotosu“, Kraków 1936.

Autor, którego nazwisko mówi samo za siebie, określa swoją pracę skromnie: jako podręcznik informacyjny o własnościach magnetyzmu żywotnego. Treść przekracza znacznie te ramy.

W dobie badania promieni kosmicznych, odkrywania przedziwnych ciał promienio-twórczych, w dobie szukania w medycynie nowych dróg, któreby można określić jako odwrót od klasycznego materjalizmu, podręcznik ten wypełnia poważną lukę, był on wprost koniecznością.

Magnetyzm, jak widać z treści dzieła, nie mający nic wspólnego z hipnotyzmem i sugestją, nie mogący być przedmiotem kuglarskiego eksperymentowania przed publicznością, niezwalczający objawów towarzyszących chorobie, lecz docierający do korzeni, do przyczyny samej choroby, jest siłą potężną i namacalną. Pod jej wpływem nasiona kiełkują szybciej, magnetyzm jonizuje powietrze, czyniąc je dobrym przewodnikiem elektryczności. A kto włada tą siłą, musi być człowiekiem o wysokim poziomie moralnym i etycznym, musi budzić sympatię u pacjenta, inaczej wyników dodatnich nie będzie, albo będą wręcz ujemne!

Takie ujęcie sprawy musi budzić zaufanie do tematu, stwarza cudowną wizję medycyny przyszłości!

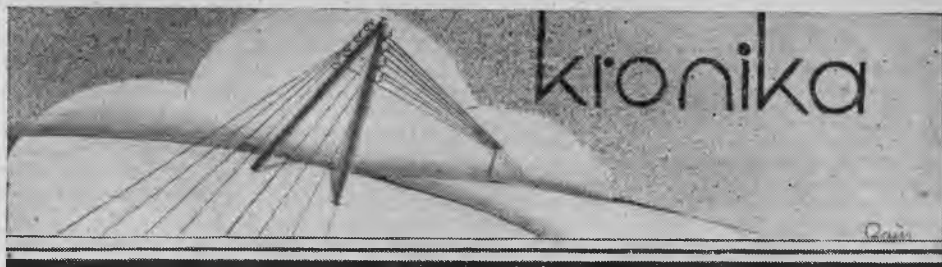
Podręcznik omawia gruntownie technikę zabiegów magnetycznych, magnetyzowanie wody i innych przedmiotów, znaczenie terapeutyczne, oraz niebezpieczeństwa tej metody leczniczej. — Opisuje istotę snu magnetycznego i stanów somnambulicznych, ich znaczenie lecznicze oraz niebezpieczeństwa przy nieumiejętnym stosowaniu tych potężnych sił.

Czcigodny autor chce przytem widzieć ścisłą współpracę lekarza z magnetyzerem, co jednak jeszcze jest u nas muzyką przyszłości.

Czemże jest ostatecznie magnetyzm? Fluidem? — „praną“, to jest czynnikiem będącym podstawą wszelkiej materji, którą magnetyzer różniczkuje w organizmie chorego, przetwarzając na siłę żywotną! Wkraczamy w krainę hipotez, lecz inaczej być nie może, przy naszym obecnym stanie rozwoju duchowego!

Przeznaczenie nie jest pisany i przeznaczony dla „wtajemniczonych“, powinien się więc znaleźć w rękach wszystkich, musi się dostać do rąk lekarzy, by innemi oczyma patrzyli na rzekomych szarlatanów, a w rzeczywistości wzniosłych dobroczyńców ludzkości, by ujrzeli wizję medycyny przyszłości!

Dr med. St. Brończyk.



### **Dietetyczne znaczenie jarzyn i owoców.**

Z wiosną rozpoczyna się corocznie sezon jarzyn i owoców. W związku z tem warto przypomnieć wielkie znaczenie, jakie mają jarzyny i owoce dla naszego organizmu. Dzięki swej znacznej zawartości błonnika, nie ulegającego całkowitemu strawieniu, tworzą one masę, wypełniającą dokładnie jelita, drażniącą ścianki i powodującą przesuwanie się ich zawartości. W skład owoców i jarzyn wchodzi różne witaminy, przeważnie z grupy C, przeciwdziałające gniciu. Dalszą, bardzo ważną ich własnością jest odtruwanie ustroju przez zobojętnianie kwasów, powstałych podczas przemiany materji, w głównej mierze na skutek nadmiernej konsumpcji mięsa, która powoduje przekwaszenie organizmu. Usuwiają je owoce i jarzyny, zobojętniając szkodliwy wpływ kwasów, doprowadzając płyny naszego organizmu do normalnego stanu. Poza wartościami odżywczymi, posiadają owoce jeszcze wybitne własności lecznicze. Morele i brzoskwinie wskazane są przy niedokrwistości, gdzie dają doskonałe wyniki. Winogrona, rodzynki i jabłka działają podobnie, ale mniej skutecznie. Owoce wchłaniają jady jelitowe, dlatego djeta owocowa jest wskazaną w zatruciu jelitowem. W ostatnich czasach okazało się, że w biegunkach czerwonych i nieżytach jelit, wywołanych zatruciami, stosowanie świeżych owoców, szczególnie u dzieci, daje bardzo dobre wyniki lecznicze. Okazuje się, że duża masa niestrawionego drzewnika działa jak okład na będące w stanie zapalnym jelita. Oprócz tego niewielka ilość garbnika w owocach powoduje strącanie jądów w jelitach, które ta właśnie masa wchłania.

Mała wartość kaloryczna i duża zawartość wody sprawiają, że djeta owocowa nie da się zastąpić przy leczeniu odfłuszczałym. Owoce przez swoją objętość, dużą zawartość wody i drzewnika wywołują łatwo uczucie sytości. Kilogram owoców soczystych przeciętnie przedstawia wartość czwartej części naszego zapotrzebowania dziennego. Nawet więc spożycie trzech kilogramów owoców dziennie (gruszek lub jabłek) jeszcze nie pokrywa koniecznej wartości pożywienia i dzięki temu powoduje spalanie własnego tłuszczu.

Duża zawartość wody i cukru powoduje łatwe psucie się owoców przy ich przechowywaniu. Dlatego też przy przechowywaniu, szczególnie owoców sprowadzanych z zagranicy, używa się szeregu środków konserwujących, częstokroć szkodliwych dla zdrowia. W 1930 r., kiedy do Polski przybywały transporty jabłek ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Min. Spraw Wewn. było zmuszone wzorem rządu angielskiego zabronić wwozu jabłek, które były tak przetadowane truciznami, że aż groziły zatruciem spożywających je. Nietylko więc ze względów gospodarczych, ale i zdrowotnych powinniśmy spożywać owoce swoje, wyhodowane w Polsce.

Do spożywania nadają się jedynie owoce świeże, dojrzałe i całe, bez plam. Nie mogą być robaczywe i ponadgrzyzone przez owady, ponadbijane i nadgniłe. Takie nadają się tylko na przetwory, które mają już dużo mniejsze znaczenie niż owoce surowe. Przeróbka bowiem pozbawia ich cennych witamin. Znaczenie tutaj ma raczej dodatek cukru. Nie należy jednak gardzić i przetworami, bo przecież suszone morele i śliwki są doskonałym środkiem przeciwko niedokrwistościom i blednicy.

Jeżeli jeszcze wspomnimy o wielkiem znaczeniu owoców przy leczeniu cukrzycy, gdzie jedynie węglowodany czyli cukry owoców są przez chory organizm spożytkowywane, będziemy mieli mniej więcej obraz wielkiego znaczenia owoców, jako środka spożywczego.